



Momenty

Janusz Korczak

wychowawcze



RZECZNIK PRAW DZIECKA

Momenty wychowawcze



Momenty

Janusz Korczak

wychowawcze



Opracowanie tekstu na podstawie wydania: Janusz Korczak *Jak kochać dziecko. Internat. Kolonie letnie. Dom Sierot w Dzieła* tom 7, 1993 / Elżbieta Cichy
Opracowanie graficzne, projekt okładki / Agnieszka Cieślikowska
Skład i łamanie / Mariola Cichy

© Copyright for this edition by Biuro Rzecznika Praw Dziecka

© Copyright for illustrations by Agnieszka Cieślikowska

ISBN 978-83-89658-44-9

druk i oprawa / Wydawnictwo Dragon Sp. z o.o.

Słowo wstępne

Prace pierwszego nieformalnego rzecznika dzieci, lekarza, pedagoga i filozofa dzieciństwa – Janusza Korczaka zajmują, szczególne miejsce w wydawnictwach Biura Rzecznika Praw Dziecka lub ukazujących się pod moim patronatem. Dotychczas wydaliśmy najbardziej znane publikacje Starego Doktora: *Prawo dziecka do szacunku* (2012); *Jak kochać dziecko. Dziecko w rodzinie* (2012); *Jak kochać dziecko. Internat. Kolonie letnie. Dom Sierot* (2013) oraz *Prawidła życia* (2012). Dopelnieniem stworzonej w ten sposób serii klasyki pedagogicznej Korczaka jest kolejna przedstawiana Czytelnikowi książka pt. *Momenty wychowawcze*.

Jest to praca w szczególny sposób adresowana do młodych nauczycieli, którzy uczą się obserwować, rozumieć dziecko i rozmawiać z nim. Dzisiejsi badacze Korczaka nazywają ten wzorzec metodyczny „uczeniem się dziecka” i „uczeniem się od dziecka”. *Momenty wychowawcze* można potraktować jako specjalny rodzaj nauczycielskiego podręcznika czy przewodnika, pokazującego nauczycielowi, jak poznawać dziecko i jak kształtować siebie w kontakcie z nim. Takie zadania stawia przed swoimi adeptami współczesna pedagogika.

Rzecz w tym, iż Korczak postawił to pytanie prawie sto lat temu. *Momenty wychowawcze* ukazały się po raz pierwszy w styczniu 1919 r. Pięć lat później drugie rozszerzone wydanie tej pracy włączone zostało przez znaną nauczycielską oficynę wydawniczą „Nasza Księgarnia” do serii publikacji o profilu dydaktycznym adresowanych do nauczycieli szkół początkowych, powszechnych. Trudno powiedzieć, jak

przyjęte zostały *Momenty wychowawcze* w tamtych czasach, gdy po wielu latach zaborów kształtowała się polska szkoła i tworzone zręby zawodu nauczyciela.

Oczywistym jest, dlaczego dzisiaj do tej lektury Korczaka kierowani są przez swoich wykładowców przyszli nauczyciele. Co dzisiaj młody nauczyciel może zrozumieć dzięki *Momentom wychowawczym*?

Odpowiem na własnym przykładzie. Bliskie mi książki Janusza Korczaka, które ukształtowały mnie jako pedagoga i doprowadziły do urzędu Rzecznika Praw Dziecka – nie są bynajmniej prostą receptą wychowania dzieci. Ich podstawą jest postawa, którą określa się w kręgu badaczy Korczaka jako „zadziwienie dzieckiem”. To ciągłe pytanie zarówno o filozoficzny dziecięcy byt, o sensy i znaczenia dziecięcego świata, jak również o konkretne dziecko, o jego codzienne sprawy, o dziecięce smutki, tajemnice, które można poznać przez ulotne spojrzenia, oderwane słowa, gesty. To właśnie pokazują *Momenty wychowawcze*.

Jak można odczytać ten Korczakowski przewodnik kierowany do nauczyciela? Co oznacza tytułowy „moment wychowawczy”? „Moment” jest jakimś punktem zaczepienia w szybko mijającym czasie. Dziś może autor użyłby określenia stopklatka. Ale przecież znamy to pojęcie także z fizyki, gdzie pojawia się określenie „moment siły”, „moment obrotowy” etc. Moment sam w sobie niewiele oznacza. Prowokuje do dopełnienia, do odpowiedzi na pytania: czego moment, jaki moment, czyj moment?

Momenty wychowawcze uważam za swoisty podręcznik obserwacji i opisanie dziecka. To wynik, przyglądania się dziecku okiem samego Korczaka i śledzenia odbijających się w nim zachowań dzieci w klasie szkolnej, w przedszkolu, które Korczak dosłownie tłumaczy z niemieckiego jako Ogródek dziecięcy (Kindergarten). Autor opisuje zachowania, mimikę, przytacza urywane dziecięce słowa: malej Helci, Krysi, Jurka, Haneczki, Nini. Jest to bardzo wnikliwa, głęboka obserwacja dziecięcej grupy poszerzona różnymi refleksjami Korczaka, jego hipotezami, wskazówkami.

W ostatniej części obecnego wydania *Momentów wychowawczych* zamieszczony został dziennik obserwacyjny Stefana – dziecka z tarnopolskiego przytułku, którym Korczak zajął się w czasie pełnienia służby medycznej w lazarecie polowym w Głuboczku na Ukrainie. Korczak spędził ze Stefanem 11 dni, przez które obserwował, jak chłopiec poznawał tajniki rzemiosła w przyszpitalnym warsztacie stolarsko-ciesielskim, jak z wielkim mozolem ćwiczył się codziennie w trudnej sztuce czytania i pisania. Dziennik Stefana jest szczególnym dokumentem obserwacji dziecka prowadzonej przez bardzo wnikliwego Mistrza, który nie tylko dostrzega zachowania czy ruchy chłopca. Potrafi

przede wszystkim odczytywać nieuchwytnie spojrzenia, ułamki zdań. Dostrzec najdrobniejszy szczegół świadczący o niepokoju dziecka, o jego przywilności i przekorze, strachu przed chorobą czy niebezpieczeństwem powrotu do przytulku.

Korczak obserwuje dziecko. Dostrzega, widzi i potrafi analizować dziecięce, ulotne, mgnienia i momenty, w których dzieje się tak wiele i które tak wiele mówią o dziecku. Zadaniem nauczyciela jest nie tylko dostrzec te ułamki chwil, ale jednocześnie je utrwalić, zapisać. Korczak przywiązuje wielką wagę do dokumentacji pedagogicznej. Uczy przyszłych słuchaczy seminariów nauczycielskich planowej obserwacji, sporządzania notatek, komentowania sytuacji i zachowań, stawiania pytań i hipotez.

Ten zapis jest dla Korczaka jednocześnie wielkim sensem pracy pedagogicznej. Oznacza, że do dziecięcego doświadczenia dodawany jest kolejny element, tzn. nauczycielska analiza i refleksja nad praktyką. W ten sposób – dziecięcy moment zyskuje nauczycielskie atrybuty wychowawcze. Korczak pokazuje, uczy młodych nauczycieli, że moment wychowawczy nie jest przypadkowym zdarzeniem, ruchem, gestem, słowem dziecka, ale utrwała się w nauczycielskiej próbie zrozumienia dziecka i refleksji nad praktyką wychowawczą. Staje się ważną i znaczącą częścią procesu wychowania.

Tak właśnie odczytuję przesłanie wydawanych przez Rzecznika Praw Dziecka *Momentów wychowawczych*. Z taką lekcją i zadaniem zwracam się zarówno jako osoba pełniąca ten urząd jak i pedagog, do przyszłych i obecnych nauczycieli. Towarzyszy mi od lat głębokie przekonanie, iż polska szkoła zmieni się nie tyle na skutek organizacyjnych rewolucji, ale przede wszystkim dzięki głębokiej, solidnej zmianie myślenia i kształtowania działań nauczycielskich w duchu korczakowskim. Wiązałyby ona dziecięce momenty z pedagogiczną refleksją nad pracą z dzieckiem. Z małych momentów, z drobnych i ciągłych zmian czyniłaby wielki program wychowawczy.

Marek Michalak
Rzecznik Praw Dziecka
Kanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu

Uwagi wstępne

I. Naczelnie miejsce w medycynie zajmuje nauka o rozpoznawaniu. Student bada szeregi osobników, uczy się patrzeć, a dostrzegając objawy tłumaczyć je, wiązać, na ich podstawie wnioskować.

Jeśli pedagogika zechce iść drogą uitorowaną przez medycynę, musi wypracować diagnostykę wychowawczą opartą na rozumieniu objawów.

Czym gorączka, kaszel, wymioty dla lekarza, tym uśmiech, łza, rumieniec dla wychowawcy. Nie ma objawu bez znaczenia. Trzeba notować i zastanawiać się nad wszystkim, odrzucać, co przypadkowe, łączyć, co pokrewne, szukać kierujących praw. Nie – jak żądać, czego żądać od dziecka, nie – jak nakazywać i zakazywać, ale – czego mu brak, czego nadmiar posiada, czego żąda, co dać może.

Internat i szkoła – teren badań, klinika wychowawcza.

Dlaczego jeden uczeń, przyszedłszy do klasy, obejdzie wszystkie kąty, z każdym zagada, dzwonek z trudem zapędzi go do ławki? Drugi od razu zajmuje miejsce, niechętnie opuszcza je podczas

pauzy? Co to za ludzie, co dać im musi szkoła, czego w zamian żądać może?

Dlaczego jeden wywołany idzie ochoczo, wzniołszy głowę, z uśmiechem zaczepnym; energicznym ruchem wyciera tablicę, pisze dużymi literami, mocno naciskając kredę? Dlaczego drugi, ociągając się, wstaje, chrząknie, poprawi ubranie, krokiem ospałym, z wzrokiem utkwionym w ziemię, zbliża się do tablicy, na rozkaz ściera – i małymi bladymi literkami pisze?

Kto pierwszy, kto ostatni wybiega na przerwie? Kto często podnosi do góry palce – wie, umie, chce powiedzieć, kto – rzadko, kto – nigdy?

Jeśli cisza podczas lekcji, kto pierwszy wszczyna hałas, kto w ogólnym hałasie zachowuje milczenie?

Kto (i dlaczego) zajął to, a nie inne miejsce, w pierwszej czy ostatniej ławce, w sąsiedztwie tego, a nie innego kolegi? Którzy wracają do domu samotni, parami, kupą? Kto często zmienia przyjaciół, kto wierny?

Dlaczego nie ma śmiechu, gdzie być powinien, dlaczego wybuch wesela, gdzie oczekiwaliśmy wzruszenia? Ile razy ziewnęła „klasa” podczas pierwszej i ostatniej godziny? Brak zainteresowania – dlaczego?

Miał dąsać się, że jest inaczej, niż mieliśmy prawo oczekiwać – zjawia się obiektywne, badawcze: „dlaczego?”, bez którego nie zdobywa się doświadczenia, nie tworzy, nie kroczy naprzód, bez którego nie ma wiedzy.

Broszura ta nie jest wzorem, jak należy studia podobne prowadzić, jest ona dokumentem, jak trudno fotografować słowami, co się ma przed oczyma, jak płodne być może komentowanie – nawet błędne – tego, co się dostrzegło i utrwaliło jako w locie

pochwycony „moment”: objaw indywidualny – ucznia czy generalny – zespołu.

II. Lepsi wychowawcy zaczynają prowadzić pamiętniki, ale zarzucają rychło, bo nie znają techniki prowadzenia notatek, nie wynieśli z seminarium nałogu protokółowania swej pracy. Zbyt wiele wymagając od siebie, tracą ufność w swe siły; za wiele żądając od notatek, tracą wiarę w ich wartość.

Jedno mnie raduje, inne smuci, dziwi, niepokoi, gniewa, zniechęca. Co notować, jak notować?

Nie nauczono. Wyrósł z sztubackiego pamiętnika, który się chowa przed papą pod materac, nie dorósł do kroniki, którą się wymienia z kolegą, omawia na zebraniach i zjazdach. Uczono go może notować cudze wykłady i cudze myśli, nie – własne.

Jakie spotkałeś trudności i niespodzianki, jakie popełniłeś błędy, jak je korygowałeś, jakich doznawałeś porażek, jakie święciłeś tryumfy? Niech każde niepowodzenie uczy świadomie ciebie, innym służyć pomocą.

III. Gdzie podziewasz godziny życia, na co zużywasz zapas młodej energii? Jeśli był zapał, a z latami nie stało – czy nic nie oświetlił, nie wykul? Doświadczenie? Jakie jego części składowe? Już teraz nie dla nauki, nie dla innych, lecz dla siebie.

Nie pracujesz dla ojczyzny, społeczeństwa, przyszłości, jeśli nie pracujesz ku z bogaceniu własnej duszy. Tylko biorąc, można dawać, tylko rosnąc własnym duchem, można wzrostowi współdziałać. W notatkach są ziarna, z których wyrósł las i łąn, są krople tworzące źródło – oto czym karmię, poję, raduję, od znoju chronię.

Z notatek bilans życia układasz. One są dokumentem, żeś nie roztrwonil życia. Życie zawsze część tylko wyzwała, ułamek da

osiągnąć. Byłem młody – nie wiedziałem, posiwiat włoś – wiem,
ale sił już brak. Z notatek ułożysz obronę przed sumieniem swym,
że nie tyle, nie tak, jak należało...

I. Szkoła miejska – oddział pierwszy

Notatka: Nie ma pióra...

Komentarz: Co robić? Czy nauczyciel powinien mieć kilka zapasowych piór, które pożycza? Kto często zapomina? Notować, ile razy, a nie przesadne: „Ty zawsze zapominasz”. Może rano przed pierwszą lekcją: co kto zapomniał?

Notatka: [obserwacja pięciominutowa w ostatnim kwadransie godziny (arytmetyka)].

Bolek trze ręką brodę, pociąga się za ucho, głową kiwa, patrzy przez okno, podskakuje na ławce, ręce składa na krzyż, biodrami ruchy wahadłowe, mierzy kajetem szerokość stołu, toż samo ręką, przewraca kartki zeszytu, zawiesza się na krawędzi ławki, czai się zgięty ku przodowi, ręką wywija, gładzi ławkę, głową potrząsa, patrzy przez okno (śnieg pada), paznokcie gryzie, ręce pod pośladek, trzewik rękami naciąga, wachluje się kajetem, ręce do kieszeni, przeciąga się, niecierpliwe ruchy bioder, ręce pociera... „Proszę pani, ja pójde do tablicy”. Hasło: Pisać! Schwycił pióro,

wywinął nim w powietrzu, dmuchnął i z impetem stuknął w kałamarnicę. Kilka silnych ruchów bioder. „Proszę pani, jaaa... oj–oj–oj!” Bije się ręką po czole, podskakuje. Hasło: Dodać 332 + 332. W mig dodał – obejrzał się: „Zrobisz?” i półgłosem: „Przrędko robimy, jak wiatr...” – mlasnął językiem i westchnął...

Komentarz: Tak broni się dziecko, tak rozprasza narastającą, a niemającą ujścia energię, tak zмага się, by nie przeszkadzać biegowi zajęć, tak prosi o czyn, wyraża żal, rzuca się na narzędzie pracy, tak wreszcie w poetycznym porównaniu wyraża nieświadomie ukrytą tęsknotę: „jak wiatr...”

Obserwuj mękę ruchliwego, pobudliwego – jak rozumnie gospodaruje, by nie budząc niezadowolenia nauczyciela, dać ujście energii w pół- i ćwierćruchach – ile się biedzi, zanim wybuchnie czymś takim, co wywoła uwagę: „Siedź spokojnie”. Jakże „szczęśliwe” jest dziecko apatyczne, senne!

Notatka: Cicho! Ile razy w ciągu godziny?

Komentarz: Może być rozmaicie: a) okrzyk nauczyciela: „cicho” zbędny, bo karność (czytaj – pięść) daje ciszę; b) można często, bez wiary i bez skutku powtarzać: „cicho”; c) można zezwalać na hałas – wówczas rezygnujesz z nauki; d) można porozumieć się z dziećmi. Więc: zupełna cisza, względna cisza. Co przerywa ciszę: pytanie, prośba, uwaga, nieproszona odpowiedź, śmiech, rozmowa z sąsiadem? Kiedy, w jakim stopniu zezwalasz? Czy zależnie od humoru, czy wiesz? A jeśli wiesz, musisz ułatwić dzieciom zrozumienie.

Notatka: Niepewne odpowiedzi na najprostsze pytania, odpowiedzi z rezerwą.



Kazać dziecku siedzieć 4 godziny na niewygodnej,
nie na miarę ławce — taka sama tortura, jak kazać chodzić
tyleż godzin w niewygodnym, ciasnym obuwiu.

Komentarz: Rzadko nauczyciel nie doda czegoś nawet do prawidłowej odpowiedzi ucznia. „Prędszej – wolniej – głośniejszej – jeszcze raz – dobrze – dalej”.

- Byli trzy chłopcy.
- Nie trzy, tylko trzej.

Nie zawsze uczeń wie, czy źle policzył, czy źle się wyraził. Wytwarza się poczucie błędu, poczucie złej odpowiedzi.

Jakże nieznośna jest wszelka praca, a niemożliwa praca umysłowa, gdy ktoś „stoi nad głową” i dulczy – przeszkadza. Bywa tak:

Nauczyciel: – Więc ile mu zostało funtów?

Uczeń: – Pięć.

Nauczyciel: – Całym zdaniem.

Uczeń (zgadując): – Sześć.

Może więc – dać skończyć, a potem poprawić? Zagadnienie ważne.

Notatka: – Nie ma czarownic – mówi nauczyciel. Zbyszek (cichy) po długim namyśle szeptem do siebie: – A są na świecie czarownice.

Komentarz: Jak często autorytet domu ściera się z autorytetem szkoły! Niekiedy autorytet dorosłych ustąpić musi przed autorytetem nieco starszego kolegi.

Notatka: Jak wzrasta hałaśliwość pauzy po pierwszej–drugiej–trzeciej lekcji: ilość bójek, kłótni, skarg? Jak wzrasta niepokój klasy: choćby w ilości uwag czynionych klasie całej lub poszczególnym dzieciom?

Uwaga. Kazać dziecku siedzieć 4 godziny na niewygodnej, nie

na miarę ławce – taka sama tortura, jak kazać chodzić tyleż godzin w niewygodnym, ciasnym obuwiu.

Notatka: – Poczekajcie, jeszcze nie pisać. – Prędkiej, pospiesz się, bo czekają.

Komentarz: „Prędkiej – nie tak prędko” – tak usiłuje nauczyciel sprowadzić klasę do jednego poziomu. Niestety! – i „prędkiej”, i „wolniej” zawodzą, demoralizują dzieci – zawisają w powietrzu.

Notatka: Naucz.: – No, ile? Uczeń nie wie. Klasa podpowiada: – 48. Naucz.: – No, ile? Uczeń milczy.

Komentarz: Zjawisko niezmiernie ciekawe. Dlaczego nauczyciel żąda bezwartościowej już teraz odpowiedzi, dlaczego uczeń logicznie jej odmawia? Jacy uczniowie niechętnie korzystają z podpowiadań?

Notatka: Naucz.: – Jaka ta książka? (żąda przymiotników).
Uczeń: – Z obrazkami.

Co w tym wypadku robi naucz.?

Notatka: Już wszyscy rysują. Adaś dopiero kończy przygotowania. Dzwonek: wszyscy skończyli, on się niechętnie odrywa od pracy.

Notatka: – Pokaż swoje rysunki. Uśmiech zażenowania – ociąga się – niechętnie.

Komentarz: Czy dostrzeżono, jak dziecko poważnie, rysując, jak silnie dąży i boleśnie upada na duchu?

– Dlaczego tak narysowane?

– Bo to ładne, bo tak przyszło do głowy.

Janinka narysowała coś w rodzaju rozłożystego kaktusa – na każdym kolcu siedzi ptaszek.

– Co to?

– U nas (w internacie) jedna dziewczynka tak narysowała.

Notatka: Zimno temu, który siedzi przy balkonie (wieje).

Komentarz: Moment rozpraszający uwagę. Jeśli w klasie zimno, dzieci lekko ubrane: jedno nieruchomieje, kostnieje w stałej pozycji, drugie broni się przed zimnem częstą zmianą pozycji („wierci się”).

Notatka: Coś mu w ustach dolega – porusza często – może ząb się kiwa.

Komentarz: Czynniki rozpraszający uwagę.

Notatka: Skarbiec uczniowskiej kieszeni – piórniki.

Komentarz: Już nauczyciel wymógł, że nie przynoszą do szkoły ani piłek, ani lalek, ani magnesów i szkieł powiększających. Ale piórniki jest dozwolony. Zawartość piórnika też rozprasza uwagę. Ale czy nie uważa, bo się bawi piórnikiem, czy raczej: bawi się piórnikiem, bo nie uważa? Czy odpocząwszy w zabawie, nasyciwszy potrzebę uchylenia się od treści lekcji – szybciej wróci do równowagi, czy dłużej trwać będzie w nieuwadze? Czy przeciwnie – może, nie mając piórnika, na dłużej pograży się w bezmyślną apatię?

II. Klasa podwstępna i wstępna pensji prywatnej

Notatka: Dyżurna wyciera tablicę. Małgosia umyślnie (na złość) maże kredą. Dziwne.

Komentarz: Czasem zdumiewa nas jakiś czyn dziecka. Gdyby to zrobił A, byłoby zrozumiałe, ale ten?... I na tej zasadzie wahamy się nagle co do uprzednio postawionej diagnozy. W czynionej dziecku wymówce będzie: „No, no, więc to tak? A ja sądziłem... pomyliłem się... teraz już... itd.”. Obraża i uraża nas, że nas zwiedziono. A tymczasem bywa, że w danym wyjątkowym przypadku B naśladuje kogoś: raz powiedział, zrobił to, co „inni”. Małgosia widziała, jak wczoraj czy przed tygodniem ktoś inny drażnił dyżurną, ktoś, kto jej imponuje, do kogo pragnęłaby być podobną.

Notatka: – Dziewczynki, proszę nie rozmawiać.

Komentarz: Dlaczego takie upomnienia w szkole dla „dobrze wychowanych” działają? Kara łagodnego upomnienia, niecierpliwego gestu, zdziwionego spojrzenia, kara wzruszenia ramion... Kara – ironiczna uwaga, zamiast różgi, która chłoscze pośladek,

wyraz, który biczuje ambicję. „Brzydko – nie wypada”. „Ostra” wymówka – ostra, więc rani. Może przypadkiem jestem u źródła ważnego zagadnienia. Gdzie wyrasta ta potworna zależność człowieka od opinii, znieruchomienie pod groźbą śmieszności – aż do psiej czujności na to, co o nas pomyśli – kelner, szwajcar hotelowy?

Notatka: Nie umie – czy się pytać?

Komentarz: Dziecko nie nauczyło się lekcji – słówek niemieckich. Gdyby sfotografować jego zachowanie się! Wzrok tępy, postawa pokorna, błady uśmiech albo gniew, bunt w zmarszczonych brwiach albo kłamliwe chrząkania, bezsłowne ruchy warg (wie, ale nie pamięta – wie, ot, zaraz powie – nie wie, dlaczego nie umie). A nauczycielka zadaje pytania. To przypomina torturę, czyni przykre wrażenie.

Notatka: Obok dzieci, które się spóźniają, należy omówić również dla szkoły niewygodne, które zbyt wcześnie przychodzą.

Notatka: Kto lubi siedzieć na pierwszej, kto na ostatniej ławce?

Notatka: – Olek, oddaj gumkę. Olek oddaje gumkę, ale nie kładzie gumki na ławce, tylko – na głowie. To nudne – położyć na stole gumkę.

Notatka: – Znów nie wiesz? Tyle razy powtarzałam. Możesz się wstydzić...

Komentarz: No, trudno – nie wie. Zamiast wymówki – pytanie: dlaczego? Gdyby lekarz do pacjenta: – Wstydz się, wypileś całą

butelkę lekarstwa i jeszcze kaszlesz, masz słaby puls, nie miałeś stolca.

Notatka: Wchodzi do klasy Władzia – kładzie książki – i węd-rówka: do tablicy, do obrazków na ścianie, do stolika nauczycielki, znów do tablicy, do swojej ławki, na ostatnią ławkę, zawiesza się w przejściu, siada, nogami energicznie buja. Janka wchodzi – do-szła do okna – patrzy przez okno nieruchoma. Zamieszanie – ławki przesuwają – odwraca się, niecierpliwy mars na czole, żadnego udziału; potem nagłym ruchem – do swojej ławki. (Nb. Niektórzy uczniowie tak przywiązują się do swego miejsca, jak więzień do celi).

Notatka: Stasia – obserwacja 8 minut. 1. Wybiegła do innej ławki. 2. Uklękła na swojej ławce. 3. Znów do innej (rozmowa szeptem). 4. Do swojej. 5. Rozmawia z sąsiadką, ta wychodzi z ławki, Stasia na jej miejsce. 6. Przy stoliku naucz. 7. Wraca, w przejściu unosi się na rękach, silnie nachyla. 8. Oparta o ławkę rozmawia z dwiema cichym półgłosem. 9. Śmiech – rozmowa z grupą z pięciorga. 10. Szybko do 4 ławki z wiadomością. 11. Wraca na miejsce. 12. Wraca – zagłąda do książki sąsiadki.

Notatka: – Nie chcecie myśleć – nie uważacie (ton bezsilnej, beznadziejnej rozpacz).

Komentarz: W tej klatce wraz z dziećmi zamknięta jest i nauczycielka, ona nie tylko zmusza, ale i sama musi, męcząc, sama się męczy. Może dawniej próbowała, poszukiwała. Jeśli nie, to że nie wiedziała, nie umiała, warunki tak się złożyły. Mogła pomylić się w wyborze zawodu. Kto winien?

Notatka: Władzia podnosi palce (przelotna myśl, żeby nie zanotować – bo to mi psuje uprzednio postawione rozpoznanie).

Komentarz: Niechętnie zanotowałem, że Władzia – lekkoduch, wiercipięta – chce powiedzieć. Dlaczego? Właśnie, że przeczy memu ujemnemu pogładowi na nią jako uczennicę, winien byłbym fakt ten radośnie powitać i skrzętnie zanotować. Władzia taka, jaką ją chcę mieć, nie powinna podnosić palców, powinna być szczęśliwa, że jej dają spokój, że nie zmuszają do odpowiedzi. I właśnie przestępstwem moim jest, że ja chcę, aby była taka, za jaką ją uznałem. Toć powinienem badać taką, jaką jest, winienem chcieć dostrzec najwięcej, najwszechstronniej. Ale jestem leniwy, chcę, by Władzia była łatwa do poznania: przyklepiłem etykietę – załatwione. Dwa podniesione palce – to nowe zjawisko, wymaga rewizji, nowego wysiłku myśli, by pogłębić pogląd. Jestem niecierpliwy – śpieszę się. „Poznawszy” ją łatwą, już biegnę do innych – trudniejszych. Szybko załatwiam jednego pacjenta odczepną diagnozą, bo czeka szereg kolejnych. Jestem ambitny – boję się o swe rozpoznanie, może dlatego właśnie, że niechlujnie uzasadnione, tandetnie sklecone – nie jestem pewien i ogarnia mnie obawa, że nowe zjawisko nadweręży mimochodem rzuconą jałmużnę etykiety. Przykro mi się przyznać, że ledwo sylabizuję, że muszę długo i uważnie wpatrywać się w litery objawów, by wystękać jako tako, z gruba treść. Siedzi we mnie nadęty autorytet, który „takiego pędraka” w lot poznaje, na wskroś przenika. Żyje we mnie zdemoralizowany partacz, którego szkoła tresowała w wyłgiwaniu się obowiązkom prawdziwego poznania. Te dwa podniesione w górę palce małej Władzi to protest żywej istoty, która nie pozwala zbyć sobie byle czym, która nie godzi się na napis, etykietę – mówi: „Nie znasz mnie”. Cóż ja wiem o Władzi?

Że się kręci? Nauczycielka rzuciła przelotne: „Leniuch” – smakowało mi – przyswoilem. Może Władzia nie leniuch. Może zrzec się zdawkowej diagnozy, przyznać do błędu – i w nagrodę otrzymać parę autokrytycznych uwag. Drażliwiec Władzia może zdolna jest żywo zainteresować się; może walczy z uprzedzeniem nauczycielki. Te dwa wzniesione w górę palce mogą oznaczać: a) „właśnie że wiem, właśnie że nie jestem taka, za jaką mnie macie” lub b) „jeśli mnie coś istotnie zajmuje, wówczas wiem, chcę odpowiadać”. A może istotnie „leniuch” dziś rano postanowiła się poprawić, rozpocząć nowe życie? Może po rozmowie z matką, z przyjaciółką? Czy pomóc Władzi w jej wysiłku, czy tylko zapamiętawszy, czekać, co będzie dalej, jutro, za tydzień?

Tak, nie dwa zasmolone palce wstępnika, lecz pytanie, na które znaleźć nie mogę odpowiedzi.

Notatka: Gawęda – mysz itd. (zaraz – szczur, pszczoła itd.).

Komentarz: Nie ma książki, która omawiałaby technikę prowadzenia z dziećmi rozmowy, gawędy (nie – pogadanki). Może dlatego nie umiemy, że nam się łatwe wydaje. Mam w pamięci śliczne rozmowy z kolonii letnich, wieczorne, z internatu – kto ich nie zna, kto z wychowawców nie pamięta? Czy można je przenieść do szkoły?

Mysz – pożyczili kota, żeby łapał – opowiadanie o walce psa z kotem – szczur był na poduszce cioci – raz w rybie znaleźli mysz – szczury pływają – w kąpielu były rybki – są złote rybki – jak okrętem jechać, ryby się widzi – są trujące kwiaty – tatusia pszczoła ugryzła – babcia ma ule.

Temat – chce mówić kilkoro, razem. Jeden opowiada mnie, drugi sąsiadowi zaczyna opowiadać – tworzą się grupy. Ktoś jeden

zaczyna hałasować – hasło rozprzężenia – przepadło. A do dzwonnka zostało dziesięć minut – co robić?


Jeśli ustanowić kolej, niech się zapisują do głosu – krępują się, bo nieprzyzwyczajone, mało mają do powiedzenia. Jak uchronić od zniszczenia ciekawy, a zupełnie niebadany język – dziecięcego opowiadania?

Przykład – nie ze szkoły – z Ogródka – opowiadanie pięcioletniego Wiktora:

– Gdzie widziałeś jabłka?

– Jabłka – widziałem jabłka – takie malutkie – drzewa duże takie – można leżeć i huścić się – taki był pies – a jak jedno jabłko upadnie – to on leży i śpi – mama idzie – chcę sam iść – i tam jest krzesło – tam pies – jakiś pies – ukąsił tak – ossstre zęby miał – więc jak on spał, to on go ukąsił – trzeba psa łupić, że ukąsił – tam jest pani – takie ma zęby – zapomniałem, jak się nazywa – Foks się nazywa – ukąsił i krrrew – jadł kość – Foks, poszoł, poszoł won – a on wytrzeszczył tak oczy i ukąsił – rzucił kość i ukąsił – rzucitem temu piesu jabłko – a jak z drzewa oderwał jabłko i rzucił daleko – takie twarde jabłko – słodkie, że nie wiem – tylko powąchał – a potem przyszedł żołnierz – bac w pieska – bac – taki ładny – ładny – ładny.

Zanotowałem, ile można bez stenografii. Porównaj: „ossstre, krrrew” Wiktora z „wiatrrr” – Bolka.



I właśnie przestępstwem moim jest, że ja chcę, aby
była taka, za jaką ją uznałem. [...] Ale jestem leniwy, chcę, by
Władzia była łatwa do poznania:
przylepiłem etykietę — załatwione.



III. Helcia

Teren obserwacji – Ogródek dziecięcy. Obszerny pokój – w rogu fortepian. Koło ścian foteliki trzcinowe i stoliki dla pojedynczych. W środku pokoju sześć stolików, przy każdym cztery foteliki. Koło drzwi szafa z zabawkami i przyborami Montessori. Bohaterami obserwacji: Helcia – lat trzy i pół. Jurek i Krysia – też trzylatki, Haneczka – lat pięć, Nini – lat sześć. Czas obserwacji – po dwie do trzech godzin w ciągu dwóch dni szkolnych.

Helcia – ambitna, przywykła do zachwyków, kokietująca rozumem i wdziękiem; wraz ze starszym bratem stanowią czarującą parę zdrowych, żywych, przykuwających wzrok i serce – dzieci.

Jurka znam ze stosunków domowych; jeśli nie jest zdecydowanym tyranem, mimo woli patrzę na niego „z uprzedzeniem zdawkowej kwalifikacji”; ma „zepsutą opinię”: zamierzył się na matkę batem, zrobił awanturę – kogut.

Krysia – tu medycyna bruździ. U tego rodzaju dzieci nie lubię odry i kokluszu. Drobne, poważne, skupione – filigranowe, coś

w nich z marzenia, zadumy, smutnych przeczuć – budzą tkliwy lęk i szacunek. Chętnie przepisują im tran i całują rękę.

Haneczka – jak ją określić? „Ma głowę na karku” – „nie z jednego pieca chleb jadła” – „w kozi róg jej nie zapędzisz – w pole nie wyprowadzisz” – „sztuczka” – „kwiatek” – wie, co i ile dozwolono – chce się powiedzieć, że nie ma wdzięku, ale jakoś nie wypada – przepowiada się, że będzie dzielnym człowiekiem.

Nini nie daje się scharakteryzować. Dostrzegłem w niej coś z tej dziecięcej konspiracji, która budzi nieufność. Najchętniej przestaje ze swym jednolatkiem–bratem i z młodszymi od siebie dziećmi.

Zacząłem obserwację bez programu – bez planu – przygodnie – ot tak: „Co małe robią?”.

Pierwsza notatka moja – ołówkiem:

Helcia (obrazki):

– On ma czerwony język (pies). Dlaczego?

– Bo to piesek (Nini).

– Czy pieski mają czerwony język – czasem?

(Opow. Helci o piesku, który czekał, chociaż „my mu nic nie robili”).

Kryśka bawi się piłką.

Nini: – O, Kryśka się bawi (jedną ręką) także.

Że dziecko, oglądając obrazek, osobno ocenia ogon, uszy, język, zęby – szczegóły, których dorośli nie dostrzegają – było dla mnie zrozumiałe. My lekceważymy, bo to obrazki dla dzieci, natomiast w galerii obrazów postępujemy podobnie. Jeśli aż zdumiewa nas

spostrzegawczość dzieci, to że dzieci lekceważymy, zdumiewa nas, że są ludźmi, a nie lalkami.

Pytanie Helci, dlaczego pieski mają czerwony język – tłumacząc sobie jako chęć prowadzenia gawędy o byle czym z Nini, osobą wyżej od niej stojącą w hierarchii społecznej (rozmawia, gawędzi za pan brat z siedmioletnią), a utwierdziło mnie w tym przekonaniu owo – ni przypiął, ni przytątał: „czasem”. Tak prostak spotkawszy się z inteligentem, parweniusz z arystokratą – wtrąci wyraz lub zwrot wyszukany w rozmowie bez treści, a tylko w celu okazania, że i on – umie, może.

Nini uwaga, że Krysia się bawi, i owo – „także” dowodzi zdziwienia: pierwszy raz widzi, że Krysia się bawi.

Nini piłkę:

– Ja jedną ręką – a ty tak umiesz?

– Nie (Hel. – szybko).

– Ja nawet w górę umiem.

Krysia zamienia dobrą piłkę na złą.

– Heee – nie będziemy już mieniać – dobrze? (Nini).

Krysia miętosi złą piłkę, z której „powietrze wyszło”.

Tu utrwaliłem dwa momenty. Szlachetną prawdomówność Helci stwierdzałem wielokrotnie. Jeśli skłamię, to że ambitna, skłamię w obronie swej godności. Przykro jej się przyznać, że nie umie, więc szybko mówi, że jedną ręką nie umie, wyraźnie chce zmienić temat rozmowy.

Drugi moment dotyczy Nini. Krysia zamienia dobrą piłkę na złą. Nini skwapliwie chwytą piłkę i śmieje się – jeszcze chwila, a powie: „Głupia, z tej piłki wychodzi powietrze – nic niewarta – nie

odskakuje”. Nagle przychodzi refleksja: lepiej ukryć, że korzystny zrobiła interes. Więc szybko: „Nie będziemy już mieniać”. Zbędna ostrożność: Krysia zadowolona z zamiany – eksperymentuje nad dziurawą piłką, bawić się już nie chce. Jak Helcia nie skłamała, mówiąc szybko i nieco cicho, że nie umie chwycić piłki jedną ręką, tak Nini nie oszukała właściwie Krysi. Tak zatarte są granice wielu ludzkich wad – zalet, czynów, przestępstw.

Na podłodze sześcianki.

Nini: – Będę wam okręt budować – piec – o piec – o piec w okręcie.

Helcia: – A umiesz taki okręt budować?

Nini (nie patrząc): – Umiem.

Krysia – Helcia – Pociąg.

Sześciolatnia Nini, bawiąc się z małymi, traktuje je z góry. Nie sobie, ale im buduje. Z tym Helcia nie chce się pogodzić, nie chce uznać autorytetu Nini – zadaje nietaktowne pytanie, otrzymuje lekceważącą odpowiedź. Czy Nini umie budować to, co Helcia? Nini wcale nie patrzy: jasne, że umie.

Nini opowiada bajkę o żmijach...

– Czy śmiesznie się skończyło?

Helcia: – Nie.

Dopełniam z pamięci. Nini walczy o swój autorytet: bajkę opowie – o żmijach. Helcia nie wie, co to żmija, nie interesuje jej bajka. Nini przeczuwa porażkę, zadaje nieostrożne pytanie, otrzymuje przykrą odpowiedź. Tu ja, zresztą niepotrzebnie, zadaję Nini parę

pytań o żmijach. „Żmija jest taka jak nitka i może zjeść dwieście ludzi”. Helcia chmurnie patrzy na Nini: stosunki naprężone, atmosfera się zgęszcza. Spotkali się przypadkowo odmienni ludzie; po nieszczerzej rozmowie, przymuszonym zetknięciu, rozejdą się z urazą wzajemną.

Sześcianki i klocki – długo – pałac.

– Umiecie tak budować? (Hel.) Ładnie tak?

Nini – 22.

Krysia – 0.

Helcia – 14.

Powracają do budowania. W krótkim odcinku czasu Nini wyrzuca dwadzieścia dwa wyrazy, Helcia czternaście, Krysia – ani słowa. Tu robię uwagę, że w ciągu kilkunastu minut nieprzymuszonej zabawy były: 1. Obrazki. 2. Piłka. 3. Sześcianki. 4. Bajka. 5. Sześcianki.

Zazdrość – emulacja.

Helcia coraz natarczywiej.

– Ładnie, umiesz tak?

Wali domek Ninki.

– Ja sama będę budować.

Nini:

– Ja dla Krysi będę budować.

(i Krysi do ucha)

Krysia odwraca się, wali domek Helci.

(Puste miejsce).

Zapomniałem wspomnieć, że budując, siedzą na podłodze. Walka o Krysię, o tę małą wprawdzie, ale spokojną, milczącą, poważną osobę, która gdy weźmie piłkę, to budzi zdumienie. Śledzę bieg dramatu z zapartym oddechem. Helcia cierpi, jątrzy ją uraza, gniewa ją Nini, walczy o Krysię, ale przeczuwa, że na nic – Krysia patrzy na budowę Nini. Zemsta. Helcia wali domek Nini. Nini zbywa i to lekceważeniem: nie wypada jej rozpoczynać walki ze słabym przeciwnikiem; ona tylko podkreśla, że Krysia do niej należy. Ile tu niezanotowanego! Dopełniam z pamięci: po karczemnym postępku Helci, Krysia z lekka przysuwa się do Nini, spokojnym wzrokiem spotyka się z pełnym buntu spojrzeniem Helci, odwraca się do Nini. Dziesiątą, setną część sekundy to trwało: Nini daje polecenie, Krysia szybko „zmiata” ręką budowlę Helci. Helcia milczy: czuje się winną, bezbronną wobec Krysi.

Puste miejsce w moich notatkach – to dowód wzruszenia, wiru uczuć, które to we mnie wzbudziło. Czegoż bo tu nie ma – z człowieka? Nie pamiętam chwili podobnie silnej od czasu mych badań nad niemowlętami.

Helcia nawiązała stosunki z Nini (jak?).

Nie wiem. Nie pamiętam. Straciłem szereg ciekawych momentów. I miałbym wiele nieufności do notatek, gdzie by nie było „pustych miejsc” i szczerych wyznań, że obserwator nie pamięta, nie dostrzegł, zapomniał.

Przychodzi Haneczka – do Nini.

Jurek siada na krzeselku Helci. Hel. patrzy długo (czekam) – nic!

Haneczka bierze sześcianek z domku Helci. Hel. patrzy długo.

– Haneczko, ja cię proszę, nie bierz mi klocków.

Haneczka zabiera klocki. Helcia uderza ją klockiem w głowę.

Helcia kurczowo ostatni – daje Jurkowi:

– Masz – masz – masz.

Jurek do mnie:

– Ta dziewczynka nie ma co budować – ona nie ma budować.

Ja: – Co? (gruby – szorstki głos).

– Ona jej zabrała wszystko.

Helcia patrzy na Jurka (Jurek na Helcię).

– Ona – ta dziewczynka grzeczna.

Haneczka wydziela 8 sześcianków, Jurek dokłada swój dziewiąty.

Haneczka w hazard – dokłada.

– Wszystkie już jej oddałam, Jurku, już wszystkie jej oddałam.
(Łzy mam w oczach).

Zaczynam od mego: „Co?” – tego jednego wyrazu, który powiedziałem, a który był szorstki, obcy i duchem, i dźwiękiem wszystkiemu, co tu się odbywało. Dzieci się rozumiały, ja udawałem, że nie rozumiem; moje komórki mózgowie, moje struny głosowe, cały ja ze swą przeszłością, gdzie tyle było – wszystko to było uosobieniem brudu i fałszu wobec cudnego misterium dźwięków, tonów zwiewnych, srebrnych. Nie ma tu miejsca na naukowe rozumowanie, jest nastrój, jest święta rozmowa uczuć, których nie ma bodaj prawa dotykać nauka. Rozważać będę, ale krzywdzę tym siebie...

Jurek siadł na foteliku Helci, przy stoliku Helci. Helcia patrzy na Jurka. To niemożliwe, żeby ona myślała – ona tylko czuje. Ona

żałuje długich chwil, kiedy siedziała przy tym stoliku, z dala od dzieci, patrząc na nie z boku. Ale to już minęło i nie wróci. Opuszczyła swe gniazdko ciche – ile przecierpiała – ale już nie wróci. Teraz usiadł tam Jurek, ten Jurek, który ją pchnął przed parudniami. Helcia mu przebacza, oddaje mu swój port cichy, chatkę ustronną. Jest w niej żal za tym, co nie powróci.

Grabią jej sześcianki: prosi pokornie, bo wie, że życie krzywdzi, obronić się nie zdoła, a nie chce uciec. Tu nie wyrazy, ale głos cichy, smutny, wyraz twarzy, postawa. Żadna aktorka nie będzie umiała tak prosić o ratunek, o wyrozumiałość, o litość. Jakże genialną jest natura, która pozwala trzyletniemu dziecku być tak uosobieniem prośby. A wyrazy? Takie proste: „Haneczko, ja cię proszę, nie bierz mi klocków”.

Haneczka–życie nie zna litości: grabi. Helcia uderza ją w głowę ostatnim klockiem, który pozostał; boi się odwetu – w jej trzykrotnym: „masz”, gdy wciskała Jurkowi w rękę ostatni klocek, było tyle dramatycznej siły! Tak, ginąc w boju, oddaje żołnierz swój sztandar pierwszemu z brzegu, byle nie wrogowi.

Jurek, bierny świadek sceny, głosem wzruszenia zwraca się do mnie. Prosi o pomoc dla dziewczynki, której zabrali „wszystko”, którą skrzywdzono, a on, trzymając jej ostatni klocek, nie wie, co przedsięwziąć. Mówiąc do mnie, daje poznać Helci, że jej współczuje, Haneczkę potępia.

Haneczka zrozumiała. Uderzona w głowę klockiem, lekko tylko potarła miejsce, gdzie zabolęło – nie myślała o odwecie. Zawinięta – oddaje, daje więcej, niż wzięła, i prosi Jurka o przebaczenie.

W notatce wołałam pominąć ruchy, gesty (ba, spróbuj się o to pokusić), a notowałam wyrazy, bo cudne były swą prostotą i mocne powtórzeniem. Tu Helcia trzy razy powiedziała: „masz”, oddając

Jurkowi klocek, dwa razy powtórzył Jurek, że Helcia teraz nie może budować, dwa razy mówi Haneczka, że klocki oddała. Sądzę, że w dramatycznych momentach autor i aktor silniejszy wywołują efekt powtórzywszy jeden okrzyk dwukrotnie niż długą tyradą. „Mamo – mamo”, „nie mam córki, już nie mam córki” – „ja niewinna, ja niewinna zupełnie” – to może być bardzo silne. Trzeba zwrócić szczególną uwagę na powtórzenia u dzieci. Zapewne są bardzo częste!

Scena ta budzi we mnie wiele myśli:

1. W świecie uczuć dzieci są od nas o wiele bogatsze, uczuciami myślą.

2. Jeśli zadaję sobie gwałt, opisując scenę – czym byłoby moje wtrącenie się do tego, co zaszło? „Haneczko, brzydko zabierać – oddaj, Helciu, brzydko bić – przepróż”.

3. Jakąż wielką uczelnią życia jest dla dzieci ten Ogródek!

Helcia: – Czy umiesz tak budować?

Nini: – My się do ciebie nie odzywamy.

Jurek chce wziąć, Helcia go odpycha, Jurek nie protestuje.

Helcia: – Ja wam dam (klocki).

Nini: – Nie potrzeba – nie potrzeba.

Haneczka: – Ja ładny pałac zbudowałam.

Helcia: – Obrzydliwy – obrzydliwy.

(Puste miejsce).

Helcia: – Umiesz tak budować?

Żadnej odpowiedzi.

(?) nie potrzeba ciebie.

Helcia do mnie: – Czy ładnie zbudowane?

Ja: – Ładnie.



W świecie uczuć dzieci są od nas o wiele bogatsze,
uczuciami myślą.



Helcia: – A pan umie?

Ja: – Umiem.

Dopiero teraz, odepchnięta, sponiewierana, zauważyła mnie, zwraca się do mnie. Biedactwo!

Haneczce trochę imponuje, trochę nudzi ją gadatliwość Nini.

Helcia poprawia zepsutą piłkę.

– Widzicie, jak się to robi?

Helcia do Jurka:

– Daj mi pudełko.

Jurek – ruch obronny*.

Głaszcze go po twarzy. Nie daje – odszedł. Helcia ruchem rabunku zabiera, ucieka, siada przy mnie.

(Puste miejsce).

Helcia: – Umiesz tak budować?

Jurek: – Nie – bz – wzz – wzz – wzz – bizzzz.

Nareszcie – ale w jakiej karykaturalnej formie – nie dziwiłbym się, gdyby westchnęła.

To są notatki znużenia. Nie rzucam notowania, bo cenne, ale m zmęczony, do cna zmęczony – partaczę. Ostatni moment zaopatruję w komentarz, bo już nie ufam pamięci: Helcia, która tak pragnęła usłyszeć, że nie umięją tego, co ona umie, nareszcie cel osiągnęła. Jurek nie umie, Jurkowi przykro się przyznać, że nie umie, więc: „bzz – wzz – wzz” – to zlekceważenie sprawy, zmiana tematu rozmowy. To samo zrobiła niedawno Helcia.

* Obronnym nazywam ruch, gdy dziecko nie chcąc dać, podnosi rękę z żądanym przedmiotem w górę, chowa go za głowę, przechylając ją w stronę wyciągniętej ręki (przyp. aut.).

Pani: – A sa place.

Helcia (do Nini): – Co znaczy place?

Helcia zwraca się do Nini, nie do mnie.

Modlitwa: Haneczka, Krysia biorą udział. Helcia zmiążdżona
– po modlitwie zdecyd. do Jurka:

– To moje miejsce, to moje.

Jurek oddaje, przenosi się na swoje.

Po marszu Haneczka wyrzuca Jurka z jego fotelika, pokornie
przenosi się znów na inne.

Helcia u siebie – stuka nogami o stół – stuka stolikiem – bije
ręką po stoliku.

(Puste miejsce).

Helcia ma klocki – wyjmuję jeden – lekko nim uderza po stole
– ruchy ospałe – głowa wsparta na ręce. Zaczyna budować – bramę
z pałacu Haneczki – nie udaje się jej; trójkąt spada z podstawy
trzy, cztery razy. Helcia wkłada klocki do pudełka.

Puste miejsce – to moja porażka. Na chwilę tylko odwracam
głowę, pozostawiam ją wzburzoną, samotną. Znajduję przygnę-
bioną, nieszczęśliwą – ale już na stoliku leży pudełko z klockami:
kiedy wyjęła je z szafy – jak? Nic nie wiem. Znużony, zagapiłem się.

Przeczytałem to, co napisane. Źle. Ja rozumiem, ale czytelnik
zrozumie dopiero po parokrotnym uważnym odczytaniu. Takich
czytelników będzie mało. Trzeba pisać łatwiej – przystępniej. Do
obserwacji w drugim dniu wybieram inną, nową metodę. Najprzód
wszystkie notatki razem, potem bieg wypadków, zestawiony w akcję
opowiadania, wreszcie – komentarz.

Dla ucznia seminarium taki plan:

1. Charakterystyka dziecka, które obserwuje.

2. O warunkach obserwacji:
 - a) teren z planem,
 - b) o sobie: która to praca, skąd zna dziecko, co o nim wie, słyszał, dostrzegł, pamiętał, zanim podjął obserwację,
 - c) stan psychiczny własny – czy chętnie, czy celowo, czy przypadkowo podjął obserwację, czy zdrowy, w wesołym usposobieniu itd.
3. Notatki in crudo – z dodaniem: „puste miejsce” (luka w obserwacji). Pytajnik w nawiasie, gdzie nie mógł odcyfrować notatki. Ważne: zachować skrócenia.
4. Bieg wypadków w opowiadaniu związłym.
5. Komentarz do notatek.
6. Osobiste – własne przeżycia i rozmyślenia.

Zdaje mi się, że półświadomie plan ten miałem w głównych założeniach. To coś w rodzaju sprawozdania teatralnego, coś z wypracowania o znanym dramacie. Niejasności mojej pracy wypływają stąd, że czytając wypracowanie o dramacie Szekspira, Sofoklesa, znam Hamleta, Antygonę – tu czytelnik nie zna ani bohaterki Helci, ani dramatu. Jeśli zostawiam w tej formie pierwszy dzień obserwacji, to by dać wzór pracy ułomnej, takiej, jaką być nie powinna. Nie mam pewności, że drugi dzień będzie lepszy.

(Nb. Bruździ mi to, że piszę nie w dniu obserwacji, lecz w cztery dni później: obserwację wtorkową komentuję w sobotę).

Drugi dzień obserwacji

Notatki:

Helcia nawet nie spojrzała na swój stolik.

Krysią bawi się z Manią.

Helcia zagadała do Stasi – nic.

Helcia zagadała do Janka – dłuższa chwila.

Helcia ziewa.

Helcia z Wiką:

– Ja mam 8 lat.

– Władek też ma 8 lat.

Wika idzie sprawdzić, Helcia niepewna.

Hel.: – Wł., ile ty masz lat?

Wł.: – 7 i pół.

Krysia przy stoliku starszych. Helcia się jej przygląda.

Modlitwa – marsz – Helcia głośno, prowok.: – O, fartuch – ma-
musia kazała fartuch. Biegnie. Przewraca ławkę.

Głośno do pani:

– Przewróciło się.

Do mnie:

– Przewrócili się rękawy.

Brzydka jest.

Chwilę – śliczna. Zapomniała o sobie – długo pracuje, by guzik
fartucha z tyłu zapiąć.

– Proszę pana.

Gdy chcę –

– Ja już sobie sama...

Do przodu – palcem poszerza dziurkę.

– Proszę zapiąć.

Wyciągam rękę – odsuwa się – znów próby (ostatni wysiłek
– to samo u dorosłych – a nuż w ostatniej chwili się uda – ostatnia
nadzieja).

(Puste miejsce).

Zapinam: – Spróbuj odpiąć, to łatwiej. Nie chce – do stolika
z literami – do Krysi. Uczy się szanować istotną zasługę.

Helcia litery – sny o potędze – ja przy stoliku, ona zwraca się do pani N. Babrze się w literach: – Czy dobrze?

– Nie!

(Jak do cna demoral. dzieci zachwyty dorosłych!)

Do mnie: – Prawda, że tak się składa?

– Nie.

– No, proszę patrzeć.

– Nie.

Jedną lit. przekłada.

– No, proszę zobaczyć.

– Źle.

Nie pozwala sobie pokazać.

Rzucam obelgę: – Ty za mała (bo mnie gniewa).

Odchodzi – pokazuje pani N., że stolik złamany – lalkę:

– Czy brzydko ubrana?

Wylicza, jak ubrana.

– A ja mam coś takiego w kieszeni. A co ja mam?

– Nie wiem, skąd mogę wiedzieć – a ty wiesz, co ja mam?

– A wiem (zagląda).

Do liter:

– No, proszę zobaczyć (do p. N.), czy dobrze?

– Nie.

(Praca – nie chce się pogodzić).

Pani N. pokazuje, jak układać – nie patrzy: chce czarować, królować, nie pracować. Mnie się pyta: – A teraz?

– Nie!

Znów do złamanego stolika, pokazuje Jankowi. Z p. N. – rozmowa.

Książkę z obrazkami – nuci, oglądając, jedną z piosenek Ogródka, *Poliszynela*.

– Pani umie kota narysować? A ja umiem.
(W domu umie to, czego dorośli nie potrafią).
Rozmawia z Tadzkiem, czegoś mu nie pozwala.

Nudzi się.

- Weź klocki, domki, jak Haneczka.
- Jak Krysiaaa?
- Nie, jak Haneczka.
- Nie chcę. To łatwo. A pan umie fartuch szyć?
- Nie.
- A ja umiem.
- Nawet zapiąć nie umiesz.
- Umiem.
- Nie.
- Umiem (drażnienie się).
- A umie pan wózek rys.?
- Nie.
- A ja umiem. A kota?
- Umiem.

Daję ołówek, papier: – Narysuj.

– A ja umiem ołówek rysować.

Rysuje kaczkę (po trzyletniemu). Chłodno, bez zapału, przyznając, że dobra.

- A pan umie?
- Tak.

Patrzy zdziwiona, rysuje.

- No, co to jest?
- Nie wiem.
- No, co to, co ma tyle nogów?

Ja rysuję kaczkę.

- Proszę dać papieru, miseczkę narysuję.
- Rysuj na tym samym.
- Eee – ale rysuje.

Zamiast miseczki – dziewczynka z koszykiem.

- Miałaś miseczkę narysować.
- A ładna miseczka?
- Zapytaj się Krysi.

Rozmowa Krysi z Helcią – krótka.

- Co Krysia powiedziała?
- A to dobry koszyczek?
- Zły.

Ja rysuję: – Czy twój lepszy, czy mój?

Palcem: – Ten (wskazuje na mój).

Żal mi jej:

1. Zachwył.
2. Niechęć – gniew.
3. Współczucie.

Sprzymierzam się z Helcią przeciw Krysi. Helcią się zachwycają, Krysię uwielbiają. Krysia stara się być pierwsza w marszu. Helcia chce wziąć impetem. Krysia czeka, aż samo przyjdzie. Krysie:

1. Nieczynne, nie tracą energii.
 2. Ciche – wszędzie się wkradną, wypatrzą, kto co robi najlepiej – długo patrzą tylko.
 3. Zwyciężają bez walki – nagłym wybuchem, jednym atakiem.
- Pomóc chcę Helci: nauczę.
- Daj kredę.

Nie wie gdzie. Krysia wie – przynosi. Rysuję na tablicy domek. Próbuje też – źle. Dorabia okna do mojego domku. Przechodzi Lala.

Hel.: – O, patrz, ładne?

Lala: – Ładnie ty rysujesz.

Hel.: – O, okna, patrz.

Hel. rozumie, że zaszło nieporozumienie – wstydzi się.

Drzewa rysuje – nie chce wycierać ściereczką, tylko skrawkiem papieru. Ręką ściera, patrzy na mnie z uśmiechem przekory.

Hel.: – Proszę coś narysować.

Rysuję człowieka – ona dorabia mu palce, poprawia.

Domaga się nowego rysunku. Rysuję ptaka.

Hel.: – To ptak albo skowronek. (Czeka na zachwyt z powodu nowego wyrazu). Dochodzę na chwilę do Krysi, która klei.

Przychodzi wnet Helcia – odciąga mnie (zazdrość). Gubi kredę, długo szuka – znajduje.

Kreda upadła – złamała się. Patrzy zdziwiona, pisze na tablicy kawałkiem, rzuca umyślnie i patrzy (eksperyment.).

Żąda nowego rys. Rysuję kwiat. Ulepsza go.

– Co to jest?

– Okulary.

– Po co?

– Żeby lepiej widzieć.

– A to po co?

– To potrzebne, żeby się trzymało.

– To można gwoździkami.

– Gwoździkami toby bolało.

Zdejmuję okul., pokazuję. Smaruję mnie kredą.

– Zabrudzisz mnie, Helciu.

– A to nowe ubranie?

– Nie, stare.

– A ja mam nowe. Zosia uszyła.

- A kto to Zosia?
- Człowiek z głową, z rękami, z czołem...
- Dlaczego wąsy na twarzy?

Tatuś się goli. Ja nie mogę, bo nie mam za co kupić. Radzi zrobić ze złota albo z papieru. Wycinam według wskazówek z papieru. Zostaje papier z dwoma otworami. Kładzie papier na twarzy, straszy mnie. (Czeka na: oj, boję się, oj, schowam się).

Ja nic.

- Czy straszne?
- Nie.

Daję lusterko, żeby zobaczyła, czy straszne. Pytam się Krysi, czy straszne.

- Nie.

Rysuje coś na masce, żeby było straszne.

- Teraz straszne?
- Nie.

Wykrzywia twarz.

- A teraz?
- Nie.

Ja: – A czy kto się bał tego? Nie odpowiada. Mnie przymierza maskę, Krysi próbuje.

Śniadanie.

Hel. głośno:

- A ja już wiem, gdzie moja butelka (z mlekiem).

(Nb. Krysia zamiast k mówi t – może ta wada wymowy uczynić ją małowówną, nietowarzystką; higiena wychowawcza winna pamiętać, zapobiegać).

(Nie Helcię dwa dni obserwowałem, ale prawa natury, człowieka).



Boi się, ale pociąga ją to nowe – istotne życie,
które jest wysiłkiem i walką, gdzie ma walor zasługa,
nie – czar [...].

№ 5708

Są w Ogródku tylko dwie małe: Helcia i Krysia. Wedle naszej recepty: „bawcie się razem” – zmuszone, bawiłyby się; nieprzynaglone garną się raczej do starszych dzieci – to im coś więcej obiecuje niż zabawę. Mania najchętniej rozmawia, opiekuje się małymi; dostrzega to Krysia i Manię musiała pociągnąć ku sobie małomówna, spokojna, poważna Krysia. Helcia szuka dopiero. Dochodzi do Stasi, źle wybrała, do Janka – ten dobry: od tygodnia dopiero w Ogródku, jeszcze „się nie rozruszał”, skrzepowany – mało kogo zna, różnicę wieku wyrównywa to – rozmawiają. Ale Helcia niecierpliwa. Zaczepia Wikę – niezręcznie: informuje ją o wieku brata, ale nie będąc pewna, czy dobrze powiedziała (osiem lat) – zmieszała się. Helci całą bezpośredniość uczuć, każdy czyn – krępuje i hamuje obawa śmieszności. Dlatego nie bierze udziału w modlitwie, w marszu, w gimnastyce. Cierpi, ale boi się – nie może. Kiedy dzieci maszerują w takt fortepianu – pragnąc zwrócić na siebie uwagę, nad potrzebę głośno mówi o fartuchu i... przewraca ławeczkę: kompromitacja. Oznajmia o tym zdziwionym głosem z przymuszonym śmiechem i, szybko zmieniając temat rozmowy, oznajmia mi, że się przewróciły rękawy fartucha (na lewą stronę). Doprowadza rękawy do porządku, kładzie fartuch; nie może zapiąć. Chcę jej pomóc – odmawia. Sądzi, że przeszkadza zbyt wąska dziurka (fartuch z tyłu zapinany). Sama zwraca się z prośbą o pomoc, ale w ostatniej chwili odsuwa się nagle i znów próbuje. Zwracając się po raz wtóry, nie puszcza guzika, jeszcze próbuje. Jest to zjawisko niezmiernie częste nie tylko u małych, ale i starszych, i dorosłych. Kiedy jako student pracowałem w szpitalu, byłem świadkiem takiej sceny: kolega H. chce wyrwać pacjentowi ząb – nie może. Zwraca się do lekarza, ten dochodzi. Student nie oddaje kleszczy – jeszcze jedna próba i ząb się łamie.

Litery ruchomego abecadła mieszczą się w przegródkach pudełka, na podobieństwo czcionek w kaszcie drukarskiej. Rano porozrzucane, układają je dzieci, które liter nie znają: podobne do podobnych. Krysia umie, Helcia chce pracę zastąpić błagą. Domyślam się: w domu nabazgrze coś na papierze i mówi, że napisała, a ponieważ dorośli potwierdzają, że ona pisze, więc wierzy. Cóż dziwnego, że jeśli trzyletniemu zdaje się, że tak łatwo czytać (mruczy pod nosem), rysować, pisać – sześciolatnie niechętnie ponosi trud wysiłku. Helcia żąda natarczywie, gniewnie, by przyznać, że dobrze ułożyła litery, nie chce, żeby jej wytłumaczyć, pokazać, pomóc. Chce sama! W jej bezustannych pytaniach: „Czy pan umie?”, „A ty czy umiesz?” – łatwo odczytać, że w domu dorośli udają, że nie umieją tego, co ona umie. Ileż razy się to widzi, w ilu odmianach. Trzylatek zeskakuje ze schodka: „Ja umiem”; wesoly wujcio udaje, że nie umie, boi się, przewraca, błaznuje; dziecko śmieje się, popycha go, podnieca w przekorze, złośliwej igraszce, drwinie, bladze. Trzylatek namazał coś na papierku: „To konik”. Wujek zdumiony: jaki piękny koń, on by tak nie umiał; próbuje, bierze ołówek niezaostrzoną stroną, potem ołówek wypada mu z ręki, papier spada na podłogę. Dziecko objaśnia, niecierpliwi się, czasem bije. Gdyby wesoly wujcio wiedział, że dziecko śmieje się podniecone, bo wie, że zabawa zakończy się huśtaniem, przyciskaniem, pocałunkami, a drugie dlatego właśnie gniewa się, niecierpliwi; gdyby dostrzegł, że iskrząca się w oczach wesołość i rozhułany śmiech pierwszego boba i na pół zdziwione, na pół gniewne spojrzenie drugiego przypominają mu rozwydrzenie gabinetu i opór buduaru: byłby może ostrożniejszy w przyszłości. Jeśli to samo czynią nianie, kto wie, czy nie od wesolych wujciów to przejęły, boć nie ze wsi, nie z chaty wyniosły; bo

w chatkach, o ile widziałem, stosunek do dziecka jest poważny, pełen godności.

Gniew, który wyraził się w rzuconej Helci obeldze: „Zostaw lepiej, ty za mała”, zapewne adresowany był właściwie do wesołych wujciów (i ciocę), którzy nie mogą spojrzeć na dwuletnie ładne dziecko bez półświadomej czy nieświadomej myśli o tym, co to będzie kiedyś za pikantny człowiek. Tak zaraza idzie do dzieciennego pokoju, tak kaleczy się najmłodsze, które potem w Ogródkach – w bólu prostują wykrzywione dusze, ale tracą zaufanie do dorosłych i przywiązanie do domu.

„Nie” – „właśnie że nie” – „właśnie że wiem” – „właśnie że umiem”: to też z repertuaru wesołych wujciów. Wujcio mówi: „A ja ciebie kupię od mamusi” – „masz brzydkie oczy” – o, wynalazczość ich jest wielka! Dziecko mówi: „Nieprawda – właśnie że nie; prawda, mamusiu, że nie?” – „a właśnie że tak” – „a nie”. Nazywa się to – droczeniem się. Niektóre dzieci nienawidzą tego, niektóre lubią te żarty, gdzie gniew, niechęć, obawa dają mocne sensacje.

Helcia obiecuje narysować miseczkę, ale rozumie, że nie ma śladu podobieństwa; więc niech to będzie „dziewczynka z koszykiem” – dorośli są tacy durnie, że wszystkiemu wierzą. Dwa razy zmienia temat niemiłej dla niej rozmowy. Uczciwie przyznaje, że mój koszyczek lepiej narysowany, ale kiedy Lala narysowany przeze mnie na tablicy domek przyjęła za dzieło Helci, Helcia nie ma odwagi wyjaśnić zaszłego nieporozumienia...

Epizod z kredą ciekawy. Nie oczekiwała, że upadłszy, kreda się złamie. Jeśli szklanka upadnie, staje się niezdatna do użytku, ołówek łamie się. Kreda złamała się – Helcia ostrożnie próbuje: pisze jak dawniej. Rzuca jeszcze raz: co z tego wyniknie? Już wie – wie

na całe życie. Przed kilku dniami Brzydula próbowała maczać kredę w wodzie i pisać. Każdy z nas ma w przeszłości moment, kiedy zadał sobie pytanie, gdzie podziwia się cukier wrzucony do herbaty; jeśli mu powiedziano, że się „rozpuszcza”, dodano do niezrozumiałego zjawiska niezrozumiały wyraz. Dopiero zrozumiał, eksperymentując cukrem, solą; pamiętam, jak słoną wodę wystawiałem na słońce, żeby zobaczyć, czy znów będzie sucha sól w flaszeczce; ale soli się nie doczekałem i rozwiązanie zagadnienia zostało w zawieszeniu. Dziecko lubi samo mieszać łyżeczką cukier w herbacie, ale mama tego nie lubi, bo się szklanka najczęściej przewraca.

Rozmowa o okularach. Tu są nie tylko szkiełka, przez które się lepiej widzi, ale i kawałki żelaza – po co to? Jeżeli szkiełka się nie trzymają, można przybić gwoździkami. Odpowiadam, że nie można, ale się nie śmieję. Umocowanie szkiełek, przez które się lepiej widzi, znalazło wielorakie rozwiązanie: monokl, binokle, okulary (lornetka); to nie tak proste dostrzec uszy, o które można zahaczyć druciki. Że trzyletnia Helcia tego nie wie, co wymyślił zbiorowy wysiłek specjalistów w ciągu stuleci – to nieśmieszne. Ale że ja w czterdziestym roku życia, wskutek zapytania Helci, po raz pierwszy o tym pomyślałem – to kompromituje. Drwiną, że dziecko nie wie, zabijasz w nim chęć dowiedzenia się. Kto przyzna się, że nie czytał *Fausta*, nie widział Rubensa, nie wie, kto był Pestalozzi? I czytamy, aby zbyć, patrzymy, aby zbyć, wiemy wszystko byle jak – cywilizację robią jednostki, politykę robią kliki, zaś ogół durny – za nos wodzony – umiera nawet, a wstydzi się przyznać, że nie wie za co, byle się nie śmiano z niego. Kto się śmieje z trzyletniego dziecka, że chce gwoździkami przybić szkiełka do oczu – jest zdrajcą, deprawatorem.

Helcia nie wie, jak trzymają się okulary, ale ma nową sukienkę. Ot, do czego się dogadaliśmy wreszcie.

Rozmowa o pieniądzach – złocie i papierach – to strzępy aktualnych, dosłyszanych rozmów. Wykrawam w arkuszu papieru dwa otwory (pieniądze) wedle wskazówek Helci. Helcia dostrzega podobieństwo arkusza z maską, którą dobry wujcio lubi straszyć dzieci. Zaplątana w rozmowę finansową, chce się wywikłać, by nie zdradzić swej niewiedzy. Nakłada na twarz „maskę” i próbuje straszyć mnie i Krysię. Nie udaje jej się. Zapewne maska zła – trzeba się wykrzywić. Nie pomaga.

Zdaje mi się, że Helcia zaczyna rozumieć, że dom żartuje, bawi się, udaje, kłamie; że jest zupełnie inaczej, niż sądziła. Boi się, ale pociąga ją to nowe – istotne życie, które jest wysiłkiem i walką, gdzie ma walor zasługa, nie – czar, gdzie więcej obojętnych spojrzeń niż uśmiechów, gdzie więcej sideł niż rąk pomocnych. Dom nie pomaga jej, ale przeszkadza.

Wypadło nie to, czego chciałem. Chciałem dać wzór uczniowi seminarium, jak notować spostrzeżenia i dopełniać komentarzami. A napisałem dla siebie wzór, jak z drobnego dostrzeżonego momentu – pytania dziecięcego – przechodzić do zagadnień wielorakich i ogólnych. To dowód, jaką przeszkodą dla niezależnego myślenia są wszelkie ramki, plany, drogowaskazy.

IV

Zdawało mi się zawsze, że dużą przeszkodą w racjonalnym wychowywaniu pojedynczego dziecka jest nie zawsze uświadomiona, a mimo to obecna myśl, że – „nie warto”. Jako wychowawca wielu dziesiątków dzieci, mam poczucie wzmożonej odpowiedzialności, każde słowo moje znajduje echo w stu umysłach, każdy czyn śledzi sto par czujnych oczu; jeśli uda mi się wzruszyć, przekonać, pobudzić do czynu, to moje umiłowanie, wiara, czyn – potężnieje w sto; zawsze, nawet wówczas, gdy zawiodą wszystkie nieomal dzieci, jedno czy dwoje – nie dziś, to jutro – przekona, że zrozumiało, odczuło, jest ze mną. Wychowując sto, nie znam samotności, nie obawiam się zupełnej porażki. Oddając godziny, dni, miesiące własnego życia jednemu dziecku – co czynię? Kosztem mego jednego własnego życia buduję też – jedno tylko życie. Każde moje zrzeczenie karmi tylko jedno. Łatwiej mi pokonać niechęć, znużenie, złe samopoczucie – i zaczynam opowiadać, gdy słuchać mnie będzie – sto.

Spotykając wychowawczynię, która dla jednego, dwojga dzieci – opuszczała gromadę, innymi słowy – przedkładała miejsce prywatne nad ochronę, internat – uważałem, że nie ma zamiłowania do swego zawodu, że pociągają ją: zysk, lepsze warunki i mniej pracy.

Dwa tygodnie tylko spędziłem ze Stefanem, jedenastoletnim chłopcem – i przekonałem się, że obserwacja jednego dziecka daje równie bogaty materiał, równą sumę trosk i zadowoleń, co obserwacja wielkiej liczby dzieci. Dostrzega się w tym jednym wiele więcej, odczuwa subtelniej i przemyśliwa każdy fakt głębiej.

Zdaje mi się, że znużony wychowawca gromady ma prawo, może i obowiązek – stosować taki płodozmian pracy: od tłumy usuwać się na czas pewien do zacisza i znów powracać do pracy nad tłumem. O ile wiem, do tej pory tak się nie działo – byli specjaliści indywidualnego i generalnego nauczania i wychowania.

Notatki czyniłem w formie pamiętnikowej – tak je też pozostawiam. Jako dokument, mimo niezwykle warunki czasu i terenu, mogą mieć pewną wartość.

Nb. Byłem ordynatorem lazaretu polowego. W okresie wojennego zacisza wzięłem chłopca z przytułku; chciał się uczyć rzemiosła, a w lazarecie był warsztat stolarsko–ciesielski. Dwa tygodnie z nim spędziłem tylko; zachorowałem i wyjechałem, chłopiec był jakiś czas jeszcze, potem zaczęły się pochody – ordynans zwrócił go przytułkowi.

Czwartek, dn. 8 III 1917 r.

Jest u mnie czwarty dzień. Chciałem notować od pierwszego dnia. Niestety jest tak zawsze z notatkami, że najwięcej do pisania, gdy nie ma czasu. To wielu zniechęca. Szkoda mi szeregu uczuć

dziwnych, że minęły. Już się przyzwyczailem do jego obecności.

Nazywa się Stefan. Matka umarła, gdy miał siedem lat – nie pamięta, jak było matce na imię. Ojciec na wojnie czy w niewoli, czy zabity. Ma siedemnastoletniego brata, który jest w Tarnopolu. Mieszkał z bratem, potem z żołnierzami, od pół roku w przytułku. Przytułki otworzył związek miast, prowadzi je byle kto. Rząd to pozwala uczyć, to zabrania. To nie internat, a śmietnik, dokąd zrzucają dzieci, nieużytek wojny, smutne odpadki dyzenterii, tyfusu plamistego, cholery, które zmiatają rodziców, ba, matki tylko, bo ojcowie walczą o nowy podział świata. Wojna – to nie zbrodnia, to tryumfalny pochód, uczta oszalałych z pijanego wesela szatanów.

Ledwo zapytałem, czy chce, bym go wziął, już żalowałem.

– Nie teraz, w poniedziałek przyjadę po ciebie. Zapytaj się jutro brata, czy ci pozwoli. Poradź się, pomyśl.

Jedziemy – księżyc – śnieg. O czym myśli? Rozgląda się ciekawie: kościół, dworzec, wagony, most. Twarz pospolita. Jest podobno pracowity – szpital ma swój warsztat ciesielski – oddam go Dudukowi na naukę.

Egzamin: nie zapomniał czytać. Zadanie arytmetyczne:

Obecnie ile ma lat?

Czuję, że nie rozumie, co znaczy obecnie.

– Obecnie? To – jak komu co obiecać.

Nie poprawiam.

Dostał od brata pięćdziesiąt kopiejek – kupił ciastka z powidłami, cukierki, u nas jadł zimny salceson – arcydzieło Płaski – wieczorem brzuch rozboleł. Ból w okolicy ślepej kiszki. To źle: chciałem, by jadał z kotła żołnierskiego, dopóki się nie rozstrzygnie, czy zostanie. Chciałem, żeby od razu miał ściśle określony plan dnia. Walenty wzdycha:

– I po co to panu było?

Stefan ma wrodzone poczucie ładu: kiedy kończy lekcję, książki składa na boku stołu, pióro obok kałamarza. Zawiesił ręcznik, jeden koniec zwieszał się niżej – poprawił.

Dlaczego za pięćdziesiąt kopiejek nakupił łakoci?

– A co będę żałował pieniądze?

To nie jego zdanie, a jakiegoś jego autorytetu: Nazarki albo Klimowicza (Klim. ładnie rysuje).

– Ojciec wróci – mówię mu.

– Jak wróci, to dobrze, a jak nie, to drugie dobrze.

To też musiał słyszeć. Ile głupstw mogłem mu powiedzieć na temat: „Fe, jakże można... o ojcu... itd.”.

Jego teraz inne sprawy zajmują:

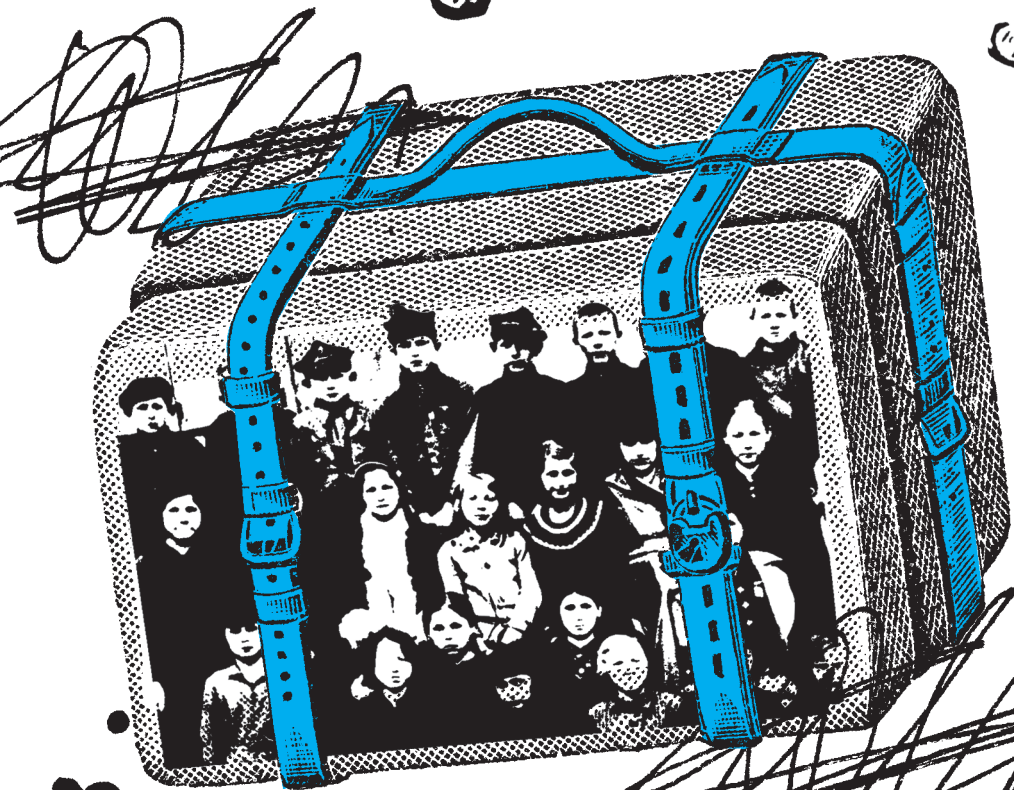
– Po co są te paski przy lusterku?

– Ten pasek do mydła, ten do grzebienia, ten do szczotki do zębów.

– Czy ta papierośnica, jak była nowa, to też była skóra popękana?

– Tak, to jest niby krokodylowa skóra.

Uwaga dla wychowawców. Gdy przyjeżdżasz do domu w roli wychowawcy, niech dzieci będą w twoim pokoju, gdy rozpakowujesz rzeczy, niech ci pomagają rozwiązywać kosze czy kufer, wyjmować i ustawiać drobiazgi. Zawiąże się rozmowa na temat twego zegarka, scyzoryka, neseseru. Ta rozmowa szybko i naturalnie zbliża cię z dzieckiem. Ono w ten sposób zawiązuje znajomości z rówieśnikami. Warto by nad tym pomyśleć: jak często dorośli zawiązują znajomości przez dzieci i dzięki rozmowie o dzieciach (w ogrodzie, na letnim mieszkaniu). Chłopcy zawiązują znajomość dzięki piłce, dziewczynki zaznajamiają się przez lalki. Jeśli powiesz,



To nie internat, a śmietnik, dokąd zrzucają dzieci,
nieużytek wojny, smutne odpadki dyzenterii, tyfusu plamistego,
cholery, które zmiatają rodziców [...]. Wojna – to nie zbrodnia,
to tryumfalny pochód, uczta oszalałych z pijanego wesela szatanów.

że nieładnie wszystko ruszać, o wszystko wypytywać, one się zażenują, odczują niechęć. Można im będzie powiedzieć za miesiąc, za trzy miesiące, gdy to dotyczyć będzie nie ciebie, a kogoś obcego. A wy przecież znajomi.

– Ile kosztuje ta papierośnica?

– Pewnie dwa albo trzy ruble. Nie wiem, nie pamiętam, bo ją dawno już mam. O, widzisz, zamek zepsuty: nie zatrzaskuje się.

– A czy nie można poprawić?

– Pewnie można, ale mi to nie szkodzi, bo się i tak papierosy nie wysypią.

Jeszcze nie wychowuję, dopiero obserwuję, staram się nie robić żadnych uwag, żeby go nie płoszyć. A przecież w ciągu tych czterech dni dwa razy musiałem go pouczyć.

Pierwsze. Podczas lekcji ze Stefanem – wchodzi felczer. Byłem dyżurny: chorych przywieźli.

– Cały dzień do pana łażą – mówi zniecierpliwiony podniesionym głosem.

I ton, i wyraz twarzy dowodzą, że to nie jego zdanie. Tak musiała mówić w przytułku albo panna Lonia, albo kucharka.

– Nie mów tak – powiadam łagodnie po wyjściu felczera.

– A bo ja czytam, a on lezie.

Dziwi go, że w szpitalu jest dwustu siedemnastu chorych i rannych.

– To pan, jak dyżurny, musi wszystkich oglądać.

– Nie, tylko nowych oglądam, żeby nie położyli jakiego zaraźliwie chorego obok zwyczajnych chorych.

– Prawda, że kur (odra) – to zaraźliwa choroba. Jak ją chorowałem na kur, to dusiłem się i już nic nie mogłem mówić. Tata dał

mi naftę pić, to lepiej się zrobiło. Tata nigdy nie chodził do doktora, tylko sam wszystko wiedział, jak leczyć.

– Tata twój był mądry człowiek – mówię z przekonaniem.

– Pewnie, że mądry – potwierdza głową.

Aż dusi mnie chęć, żeby zadać pytanie, jakże on tak powiedział, że jak tata nie wróci, to też będzie dobrze. Nie, jeszcze za wcześnie na to...

Druga uwaga.

– Słuchaj, Stefek, nie mów na pana Walentego: Walenty, tylko: pan Walenty.

– Ja mówię: pan Walenty. Echo przytułku: wykręcanie się. To była moja wina – teraz mówiąc ze Stefanem, zawsze mówię: pan Walenty.

Sprawa ważna, szczególnie w internacie dla sierot. Stróż, pomywaczka, praczka czują żal do dzieci, gdy nazywają po imieniu. Mówiąc z dziećmi, zawsze należy mówić: pan Wojciech, panna Różia, pani Skorupska.

Potwierdza się, co mówiłem o internacie: choroba w rodzinie zbliża dziecko. Nie darmo i rodzice, i dzieci wspominają chętnie, a przynajmniej dobrze pamiętają – przebyte choroby. W internacie choroba – kłopot zbędny, częstokroć oddala.

Ile miałem kłopotu, aby mu umożliwić w łóżku pisanie. Musiałem wyjąć z pudła całą zawartość, kałamarz umieściłem w puszcze od konserw, z której mi Walenty zrobił popielniczkę. Pod pudło trzeba było podłożyć z jednej strony poduszkę, z drugiej książki. Podziękował mi za to uśmiechem. Na podobny luksus internat nie może sobie pozwolić.

– Wygodnie ci?

– Tak – i uśmiech.

Zagospodarował się na tym stole: z boku książki, w rowku między deskami skrzynki – ołówek – to poczucie ładu jest w nim wrodzone. Nowa sytuacja, więc nie naśladowuje wzorów – sam działa.

Teraz siedzi i przepisuje z elementarza wierszyk. Szepce.

– Białą – białą – białą...

I kończy z wysiłkiem myślowym:

– Białą koszu – białą koszulecz – koszuleczkę.

Wzdycha.

– Białą koszuleczkę... Dam jej na drogę białą koszuleczkę.

A mimo to zrobił tu błąd – napisał: blałą.

– Widzisz, zamiast białą napisałeś blałą.

Uśmiech zażenowania.

– Jeszcze raz przepiszę.

– Daj lepiej spokój teraz, już po herbacie przepiszesz.

– Nie, teraz.

Znów cisza, przerywana jego skupionym szepcem. Chmurny patrzy, jak i w drugim przepisywaniu są błędy. W pierwszym przepisywaniu przepuściłem dla zachęty parę błędów, tym razem – nie. Onegdaj wieczorem źle czytał, nie wiedział dlaczego.

– Bo głodny jesteś – powiedziałem. Chciałem wiedzieć, czy tę uwagę pamięta.

– Jak myślisz: dlaczego teraz gorzej wyszło?

– Bo jak raz się nie uda, to już potem gorzej się nie udaje.

I z desperacją:

– Przepiszę jeszcze raz.

Aż zarumienił się, pięści ścisnął. Pocałowałem go w głowę – idiotyczny pocałunek, usunął się lekko w stronę:

– Siero-sieroteńka uboga...

Akurat w niebezpiecznym miejscu, gdzie w przepisywaniu przepuścił cały wiersz, Walenty przynosi herbatę.

– Na drogę – na drogę dam jej – dam jej na drogę. Walenty kładzie cukier do szklanki. Stefan rzuca przelotnie wzrokiem – dalej pisze.

– Znalazł się nóż – mówi Walenty.

Stefan uważnie spojrział: nóż – jaki nóż? – oparł głowę na rękę – lada moment zerwie się pytanie – nie, pokonał pokusę – znów skupiony. Walenty uśmiecha się, ja notuję szybko, szkicując interesujący moment – on nic nie dostrzega. I po chwili z tryumfem, pełnym oczekiwania:

– Już, psze pana – i uśmiech.

– Dobrze, tylko literę jedną zjadłeś; chcesz poszukać?

Pije herbatę, zmarszczył brwi – szuka zjedzonej litery. Szkoda, że nie spojrzałem na zegarek: jak długo pisał. „Zegarek – zegarek!” – ileż razy ja sobie powtarzałem – i zawsze zapominam.

Dwie myśli:

W ciągu długich miesięcy pobytu wśród gromady dzieci ani razu nie zwróciłem uwagi na uśmiech – to objaw zbyt subtelny, zbyt drobny, poniżej progu świadomości. Teraz dopiero widzę, że to ważny, wart studiów objaw.

Gdy mnie się pytał niby od niechcenia:

– Czy będę mógł jeździć na koniu? To też z uśmiechem zniewalającym (?). Odpowiedziałem wykrętnie: – Teraz ślisko, konie źle podkute – może w lecie. Dzieci muszą wiedzieć, że ich uśmiech obowiązuje.

Druga myśl:

Przepisywanie nie jest dla dziecka czynnością bezmyślną – przeciwnie, wymaga nawet dużego wysiłku: żeby nie opuścić litery, wyrazu, całego wiersza; żeby dwa razy nie przepisać tego samego

wyrazu, wiersza; żeby nie zrobić błędu; żeby wyraz bez przeniesienia mieścił mu się w wierszu; żeby litery były równe i w równym oddaleniu. Kto wie, czy przez przepisywanie nie dochodzi dziecko dopiero do zupełnego zrozumienia czytanego tekstu. Rzecz jasna, że umysły twórcze będą się szybciej zużyły biernym przepisywaniem. Stefan podczas przepisywania podobny był do malarza kopiującego arcydzieło mistrza. Jakże biedny jest nauczyciel, zmuszony poprawiać mazanię czterdziestu kajetów, jeśli nie widział, więc nie czuje wysiłku tej pracy zbiorowej.

Dla dziecka czytanie – to nie tylko trudność w składaniu liter, ale szereg niezrozumiałych wyrazów, niespodzianek gramatycznych. Więc czyta:

– Jabł-jab-ł-ka, jab-ł-ka (pauza, podczas której domyśla się znaczenia wyrazu) – i szybko, płynnie odczytuje ten sam wyraz – japka.

To samo w wierszyku:

– Bo mię-mię pol-skiej pio-pios-piosn-ki (z niedowierzaniem), pios-n-ki, piosnki (do siebie półgłosem), piosnki – co tam piosnki (i kończy głośno) – polskiej piosenki skowronki uczyły.

My, akrobaci płynnego czytania, gdzie z dwóch liter domyślamy się wyrazu, a z dwóch wyrazów całego zdania, nie umiemy zdać sobie sprawy ani z trudności, z którymi walczy dziecko, ani ze sposobów, których używa, by sobie ułatwić pracę.

Onegdaj cztery razy czytał w powiastce: Franek zamiast: Felek. Nie poprawiałem. Kiedy skończył czytanie, pytam się:

– Jak się ten chłopak nazywał?

– Franek.

- Jutro, a nie dziś.
- A Franek.
- Załóż się ze mną, że nie Franek.

Czyta:

- Fra-Fre-Fe-Felek.
- A widzisz, dobrze, że się nie założyłeś.
- A dobrze.
- Pewnie znasz Franka?
- Znam.
- A Felka?
- Nie znam.

To samo było przy arytmetyce. Zamiast: ogórki, dwa razy przeczytał: gruszki.

- Pięć gruszek – oznajmia mi odpowiedź zadania.
- Ani się zaczyna.

Milknie, po chwili stanowczo z odcieniem gniewu:

- A właśnie że pięć.
- Ano pięć, ale nie gruszek.
- A czego?
- Zobacz, to będziesz wiedział.
- ...gru ...ogru ...ogó ...ogórków.

– A widzisz: słuchaj, Stefan, może ty czarodziej jaki albo co: z Felków robisz Franków, z ogórków gruszki.

Jest taki miły w zadziwieniu, w tym zaskoczeniu, w tym: co się dzieje, jak to się stało – że go całuję. (Zbyteczne zupełnie – kiedy ja się tego oduczę?)

Gniewa go niezrozumiały zwrot.

Czyta:

– Przekupka ma dziewięć jabłek. Ile jabłek jej zostanie, jeżeli czterech chłopców weźmie po dwa jabłka każdy.

I do siebie półgłosem:

– Jakiś tam każdy. (I głośno). Jedno jabłko.

– Dwie monety... Monety, już wiem, co to jest, ale zapomniałem.

To pozornie nielogiczne zdanie ma jednak rozumną podstawę: jeśli nie wie, bo zapomniał, to może sobie jednak przypomnieć.

Przy dwudziestym już jakimś zadaniu proponuje:

– Będę cicho czytał i będę panu pisał, ile wypadnie.

– Dobrze, a ja będę kiwał głową, czy dobrze.

Nie on pierwszy robi mi podobną propozycję. Nie wiem, czy dziecko chce w ten sposób wprowadzić pewne urozmaicenie w pracy, czy też jest w tym życzeniu – głębsze podłoże: potrzeba ciszy przy skupionej pracy.

Wieczór

Zmówił modlitwę, pocałował w rękę (echo domu rodzinnego, rozbitego przez wojnę gniazda, jednego ze stu, z tysiąca, tysięcy).
Piszę. Leży cicho – oczy ma otwarte.

– Proszę pana, czy to prawda, że jak ogolić, to już włosy nie rosną?

Boi się, by otwartą wzmianką o łysinie nie urazić mnie.

– Nieprawda, przecież brodę się goli, a rośnie.

– Niektórzy żołnierze mają takie brody do pasa – jak Żydzi.
Dlaczego?

– Już taki zwyczaj. A Anglicy to nawet wąsy gołą.

- Czy prawda, że u Niemców jest dużo Żydów?
- Są u Niemców, są ruscy Żydzi, są Żydzi Polacy.
- Pan mówi Żydzi Polacy. Czy Polacy to Żydzi?
- Nie, Polacy są katolicy. Ale jak kto mówi po polsku, chce, żeby Polakowi było dobrze, dobrze im życzy, to też jest Polak.
- Moja mama była Rusinka, a tato Polak. A chłopcy idą za ojcem. A pan wie, gdzie są Podgajce? Mój tata jest stamtąd.

– A ile lat ma twój tata?

– Miał czterdzieści dwa, a teraz ma czterdzieści pięć.

– To cię tata może nie pozna, bo urosłeś.

– Nie wiem, czy tatę bym poznał.

– A nie masz fotografii?

– Ta gdzie? A są żołnierze podobni do mego taty.

Cisza. Wieczór – to niezwykle ważna pora dla dziecka.

Najczęściej – wspomnienia, też często – ciche refleksje i łagodne szeptane rozmowy. To samo w Domu Sierot, to samo na kolonii letniej.

– Czy pan książkę pisze?

– Tak.

– Czy pan sam napisał mój elementarz?

– Nie.

– To pan kupił?

– Tak.

– Pewnie pan pół rubla zapłacił.

– Nie, tylko dwadzieścia pięć kopiejek.

Znów cisza. Zapalam papierosa.

– Prawda, że siarką można się otruć?

– Można. A bo co?

Nie rozumiem intencji pytania.

– Bo byli zapalki, to jak szli na manewry...

Echo jakiegoś zatartego opowiadania ojca o wyższości pewnych gatunków zapalek – coś, słyszane przed laty: kiedy ojciec jego był kawalerem i służył w wojsku, w zupie była siarka – żołnierze się potruili.

Nie rozumiałem, Stefan mówi sennym głosem, mętnieje – śpi.

Jak ja w dzieciństwie gorąco pragnąłem zobaczyć swego anioła stróża. Udawałem, że śpię, a potem nagle otwierałem oczy. Nic dziwnego, że się ukrywał. I w Ogrodzie Saskim: myślisz, że nie ma w pobliżu stróża, a tylko na trawnik wbiegłeś po piłkę, już jest i grozi z daleka. Przykro mi było, że ten mój anioł nazywa się stróżem.

Piąty dzień

Duduk chwali Stefana: pracowity. Kiedy byłem w warsztacie, piłował drzewo. Nie mogłem spokojnie patrzeć: deska jeździ na wszystkie strony, piła tępą skacze po desce – tak łatwo może pociąć palce. Ale nie mówię nic. Przecież to byłby nonsens mówić, żeby był ostrożny. Już i tak:

„Nie wychodź boso na dwór. Nie pij surowej wody. Czy ci nie zimno, czy brzuch nie boli?”.

Toć to właśnie egoizuje, deprawuje, ogłupia – „nasze” dzieci.

Wrócił z warsztatu o szóstej.

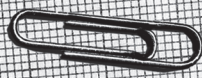
Nie chce jechać w niedzielę do Tarnopola.

– Po co? Tydzień i zaraz jeździć. Czy pan Walenty też z nami pojedzie? Czy długo będziemy?

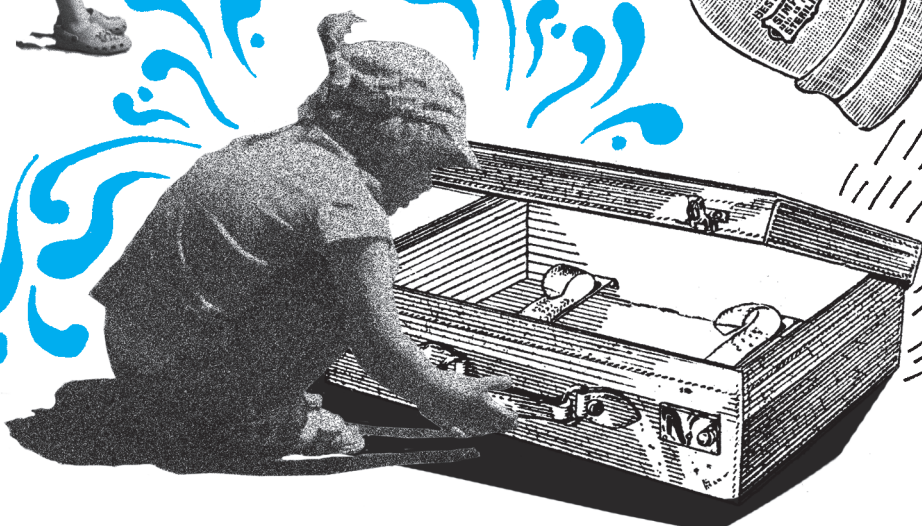
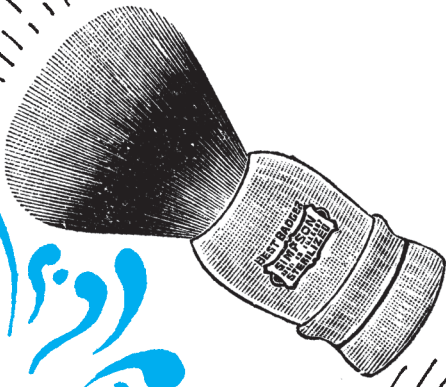
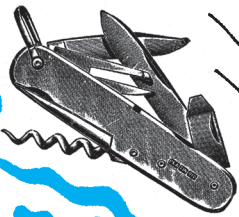
Nie chce pisać listu do brata.

– Przecie go zobaczę.

– A jak go nie zastaniesz w domu?



Gdy przyjeżdżasz do domu w roli wychowawcy, niech dzieci
będą w twoim pokoju, gdy rozpakowujesz rzeczy [...].
Zawiąże się rozmowa na temat twego zegarka, scyzoryka, neseseru.
Ta rozmowa szybko i naturalnie zbliża cię z dzieckiem.



- No, to niech już będzie.
- Więc co na początku napiszesz?
- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
- A dalej?
- Nie mogę wiedzieć.
- Czy napisać, że byłeś słaby?
- Nie!

Ledwo się powstrzymałem od ironicznego pytania: „No, a o ciastku z powidłami i salcesonie?”.

List krótki: pracuję w warsztacie ciesielskim, robota mi się podoba, pan uczy mnie czytać i rachować, możesz być o mnie spokojny.

- Jak podpisać?
- Stefan Zagrodnik.
- A może napisać: całuję cię serdecznie.
- Eee, nie potrzeba.
- Dlaczego?

Szeptem:

- Bo się wstydzę.

Proponuję:

– Czy chcesz teraz ze swego przepisać na czysto, czy ja ci napiszę na kartce, a ty z kartki przepiszesz?

Daję papier listowy i kopertę. Dwa razy próbowałem – nie udało się. Tyle papieru zepsuł. Dobrze, jutro z mojej kartki przepisze.

Zadania arytmetyczne robiliśmy bez przerwy półtorej godziny.

- Już dosyć?
- Nie, do końca stronicy.

Kto wie, czy zbiór zadań nie jest najlepszym podręcznikiem do ćwiczeń w czytaniu. Zadania, zagadki, szarady, żartobliwe pytania

– dziecko je nie tylko musi, ale chce zrozumieć. Zresztą nie wiem: może rozdwojenie uwagi nie jest pożądane. Dość, że w dzisiejszej lekcji zadania wyrugowały i zastąpiły czytanie.

– Ile pan papierosów pali, pewnie pięćdziesiąt?

– Nie, dwadzieścia.

– Niezdrowo palić: jeden chłopiec chuchnął na papier, to się zrobił cały żółty. Jak w papierosie jest wata, to zatrzymuje dym.

– A ty palisz już kiedy?

– Czemu nie?

– W ochronce?

– Nie, jak byłem z bratem.

– A skąd brałeś?

– Jak leżały na stole albo na szafie... A czy panu się kręci w głowie?

– Pewnie się trochę kręci.

– A mnie się kręciło... Ja nie chcę się przyzwyczajać do palenia.

Pauza.

– Prawda, że jak będzie ciepło, to będziemy na koniach jeździli? (To dla niego ważne – pamięta obietnicę).

– Lepiej, żebyśmy nie jeździli, a stali na miejscu.

– Nie, ja myślę – do Tarnopola.

– Konie boją się samochodów.

– No to co, jak trochę poniesie...

– A jak w bok skoczy?

Opowiadam, jak się pod Łomżą koń o mało co nie zwałił z wysokiej góry.

Kładzie się do łóżka. Ja nakręcam zegarek.

– Prawda, że są zegarki, co się w obie strony nakręcają.

Pokazuję, że i mój nakręca się – „w obie strony”.

Biorę się do pisania – porządkowania notatek.

– Proszę pana, ja włożyłem nową stalówkę, bo tamta zaciniała papier.

– Zepsuła się prędko, bo pisałeś nią po stole, a od drzewa koniec się tępi.

Dopiero teraz, mimochodem, zwróciłem uwagę na niewłaściwość, przekonałem się wielokrotnie, że podobne uwagi mają znacznie większą wartość.

Cisza...

– Dlaczego pan tyle kartek podarł?

Tłumaczę, co znaczy notowanie naprędce, a co opracowanie notatek.

– Na przykład notuję coś o chorym: kaszel, gorączka. A potem, jak mam czas, przepisuję porządnie.

– Mama kasłała, krwią pluła – był cyrulik – powiedział, że z tego nic nie będzie. Potem mama chodzili do szpitala, aż umarli.

(Westchnienie, potem ziewnięcie. Westchnienie jest naśladownictwem: tak się zwykło wzdychać, mówiąc o zmarłych).

Szósty dzień

Ledwo wypił herbatę, pobiegł do warsztatu. Mignął mi na chwilę podczas obiadu – wrócił o szóstej.

Rozpocząłem bardzo ciekawą próbę: patrzę na zegar, jak długo czyta daną powiastkę i ile błędów zrobił – nie poprawiam go podczas czytania, dopiero po skończeniu. Więc dwa razy czyta, pierwszy raz cztery minuty trzydzieści pięć sekund przy ośmiu błędach, za drugim razem trzy minuty pięćdziesiąt sekund i tylko sześć błędów.

Awantura o konia. Gramy w warcaby. W przytulku – byli chłopcy, którzy dobrze grali, z nim nie chcieli grać: „Kto będzie się chciał

bawić, jak nie umiem”. Nabrał jednak od nich manier dobrego gracza, a oto: przed posunięciem przebiera w powietrzu palcami, żeby jak jastrząb spaść na pionki przeciwnika, to cmoka ustami, to posuwa z nonszalancją uderzeniem paznokcia, z pogardliwym wyrazem twarzy i lekceważącym wydęciem ust. Są to niemiłe maniere nawet u dobrego gracza, tym bardziej u partacza, któremu dla zachęty dają czasem nierozegraną.

Gramy tedy. Nagle:

– Proszę pana, niech pan jutro jedzie koleją, a ja z panem Walentym pojedziemy na koniu.

– Głupiś. Czy konie są do jazdy – myślisz? Zresztą poproś pułkownika.

– A da?

– Figę da.

– No, niech pan suwa.

Mówi to głosem rozdrażnionym. Zaczyna grać nieuczciwie, postanawia wygrać za wszelką cenę – zemścić się.

– Eee, jak pan idzie... No, prędej... Taki pan mądry. Udamę, że nie dostrzegam, ale gram uważniej, żeby pomimo to wygrać – ukarać go.

– Zobacz pan, że pan przegra.

– Ty przegrasz, bo grasz nieuczciwie – mówię głosem spokojnym, ale stanowczym.

Jeśli swoją wolę podporządkuję woli dziecka, to musi wkraść się lekceważenie. Faktami, bez gderania, należy przeciwstawiać się, zabiegać o zachowanie autorytetu.

Figur pozostało niewiele – zadaję mu cios dotkliwy: traci damę.

– Nie umiem grać damami – mówi z rezygnacją.

– I pionkami jeszcze nie grasz dobrze, ale się nauczysz. Kiedy myłem ręce, nalewa mi wodę z kubka, podaje ręcznik, mówi, żebym pił herbatę, bo wystygnie. Bez słowa jednego okazałem urazę, on bardzo subtelnie przeprosił za to, co czuł względem mnie.

W tej awanturze o konia było, prócz gniewu, i lekceważenie. Skąd się wzięło, gdzie jego źródło? Może moje: czy chcesz rachować – czytać – pisać – może to go niecierpliwi? Dzieci lubią pevien przymus: to im ułatwia walkę z wewnętrznym oporem, oszczędza pracę myślową wyboru. Decyzja jest mozołem dobrowolnych zrzeczeń przy wzmożonej odpowiedzialności za wynik. Nakaz obowiązuje tylko zewnątrz, wolny wybór – wewnątrz. Jeśli pozostawiasz mi głos decydujący, toś albo głupi, więc sam nie wiesz, albo leniwy, więc sam nie chcesz.

Skąd ten lekki jeszcze obłok lekceważenia? Jemu daję obwarzanki, sam jem chleb razowy. Już dwa razy zachęcał mnie do obwarzanków, sobie wziął lepsze, wypieczone: nikt go nie uczył obłudy tych towarzyskich drobniusich ofiar, które mają ujawniać gotowość do istotnych, dużych ofiar.

Ten drobiaz, to nic, co nazwałem awanturą o konia – dowodzi, że minął okres ośmielania go, że mogę z wolna zacząć go wychowywać. Zbieram materiał do tej rozmowy...

Wieczorem przeglądam jego brudną koszulę; rozumie się – wesz.

– Co tam było? (niepokój w głosie).

– Wieszka.

– Bo w ochronie prześcieradeł nie zmieniali. Kołdry takie brudne.

– To nic – już teraz pewnie nie będzie. A dlaczego nie zmieniali prześcieradeł?

– Nie wiem, pewnie im się nie chciało prać.

Pierwsza rozmowa o ochronie.

– Sanitara się nie boją, a żołdata się boją. Nie, żołdat też nie bije, bo nie wolno bić – pani by się na niego gniewała. Czasem tylko, jak żołdat krzyczy, to da pasem, ale bić to nie bije.

– A ty dostałeś kiedy?

– Co nie miałem dostać?

Wygląda tak: nie biją, ale biją. A jednak Stefan ma słuszość: nie biją, nie wolno bić, żołdat krzyczy, zapewne grozi, a z rzadka, wyjątkowo, w tajemnicy da pasem.

Dawniej śmiałem się z tej pozornie nielogicznej mowy. Przestałem się śmiać jakieś trzy lata temu, gdy Lejbuś powiedział:

– Ja bardzo lubię łódką jeździć.

– A ty jeździłeś kiedy?

– Nie, nigdy w życiu.

Co najwyżej błąd w wystowieniu, a nie brak logiki: on pewien jest, że to przyjemne.

Siódmy dzień

U Czekowa byli goście – karty. Kolacja spóźniona. Walenty był dyżurnym w jadalni. Wychodzę zły koło dwunastej. Wracam do chałupy, zapalam lampę – Stefana nie ma. Kie lichó?

– Wychodzę, we drzwiach spotykam się ze Stefanem.

– Gdzie byłeś?

– W kuchni. Co raz wychodzę, patrzę przez okno, a pan siedzi. Aż patrzę – pana nie ma. Tak leciałem, żeby pana dogonić.

– Bałeś się?

– Ta czego się miałem bać?

Nie, nie bał się. Czekał, wyglądał, biegł, żeby razem. Dwa lata

nie widziałem nikogo ze swoich, pół roku temu – list, krótki, pogniciony, przypadkiem przedarł się przez kordon bagnetów, re-wizorów, szpiegów. I oto znów nie jestem sam.

Doznałem uczucia bezgranicznej wdzięczności dla tego dziecka. Nie ma w nim nic wybitnego, nic, co by pociągało, przykuwało. Twarz pospolita, postać bez wdzięku, umysł przeciętny, mało wyobraźni, brak czułościowości zupełny – nic z tego, co zdobi dzieci. Ale przez to niepozorne dziecko, jak przez krzew byle jaki, przemawia natura, jej prawa odwieczne, Bóg. Dzięki ci, właśnie żeś taki – ot sobie...

Synek mój – pomyślałem tkliwie.

Jak mu podziękować?

– Słuchaj, Stefek, jak masz o coś zapytać albo masz zmartwienie, albo coś chcesz – to powiedz mi.

– Ja nie lubię dokuczać.

Tłumaczę, że nie.

– Jak nie można, to ci powiem, że nie, wytłumaczę. Na przykład z koniem; konie muszą wozić drzewo, chleb, chorych...

– Ja chcę, żeby pan mi przyniósł obwarzanki.

– Dobrze, będziesz miał obwarzanki.

Dziś właśnie skończył się zapas, przygotowany na okres diety.

Pojechaliśmy do Tarnopola sankami. Stefan smutny jakiś. Ani jednej z tych uwag dziecięcych, które każą nam patrzeć na to, czego już nie dostrzegamy, i wspominać to, cośmy niegdyś bardzo – bardzo widzieli.

Stefan miał iść z Walentym do kościoła, potem Stefan do brata, a Walenty za sprawunkami. Ja miałem poszukać okulisty, który był podobno w jakimś szpitalu wojskowym. Zejdziemy się

w ochronce. W ciągu drogi kilkakrotnie zmienia postanowienie: najprzód pójdzie do ochronki, nie, najprzód do brata, nie – z Walentym chce iść.

W ochronce pani go zawołała: stał jakiś dziwnie tępy, bezbarwny, odpowiada na pytania głosem cichym, apatycznym. Dopiero gdyśmy wyszli, zrozumiałem, dlaczego nie chciał jechać do Tarnopola, dlaczego w drodze był smutny, dlaczego tak prędko powiedział: „No, idziemy już”, gdy wyszedłem z pokoju pani.

Stefan bał się, że go zostawię.

Trzeba kupić czajnik.

– To ja pójdę z panem Walentym, ja wiem, gdzie można kupić.

Wyjmuję portmonetkę.

– O, Walek (nie – pan Walenty) dostanie dziesięć rubli, kupimy sobie ciastka...

Ten jego ton zaczepny ma znaczyć: „Wcale się nie bałem, wiedziałem, że nie zostawicie mnie tu...”.

Dziwnie niechętnie mówi o bracie. Nie wiem dlaczego. Nie chce, abym się z bratem spotkał: co to ma znaczyć?

Czyta – skończył.

– No, ile błędów zrobiłem?

– Zgadnij.

– Pięć.

– Nie, tylko cztery.

– To o dwa mniej jak pierwszy raz.

Źle przeczytał i zaraz sam się poprawił.

– Czy to pan liczy?

Ten sam wierszyk za pierwszym razem czyta dwadzieścia sekund, za drugim razem piętnaście sekund, za trzecim też – piętnaście.

– Czy jego nie można już prędzej czytać?

Stara się szybko czytać:

– Strach – stra – sta – staruszka...

Szybko przewraca stronicę, żeby nie tracić czasu.

Wiersz *Wisła* czytał wczoraj trzy razy, dziś – cztery razy; rezultat niezmiernie ciekawy:

Wczoraj: 20 sekund, 15 sekund, 11 sekund.

Dziś: 11 sekund, 10 sekund, 7 sekund, 6 sekund.

Wiersz *Sierotka* to samo:

Wczoraj: 20 sekund, 15 sekund, 15 sekund.

Dziś: 15 sekund, 12 sekund, 10 sekund.

Zyskana podczas trzeciego wczorajszego czytania wprawa – przechowała się w całości.

Notuję w formie ułamka: licznik to ilość sekund, mianownik – ilość błędów. Więc $24/3 = 24$ sekundy, 3 błędy. Wychodząc z założenia: oceniam czas pracy i jakość – mogę rzec się stopni z czytania.

Przy czytaniu zaplątał się na wyrazie: piosenka – stracił dużo czasu – przerwał:

– Eee, to będzie długo.

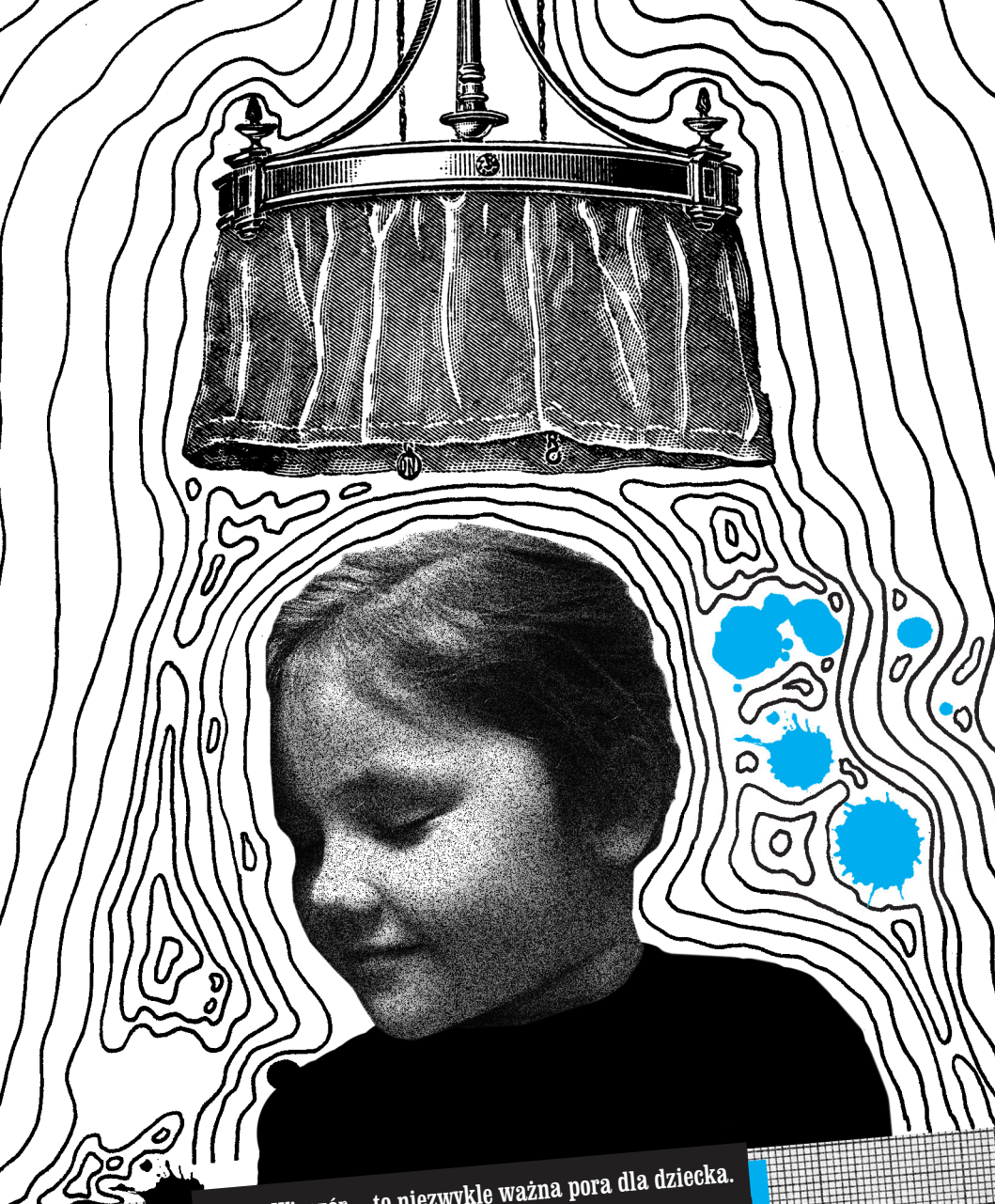
Walenty robi uwagę:

– To tak jak koń – zahaczy się i nie może pociągnąć.

Pozwoliłem mu zacząć na nowo.

Ósmy dzień

Pisałem wczoraj: uwagi dziecięce, które zmuszają nas znów do patrzenia na to, czego już nie dostrzegamy. Oto parę przykładów:



Cisza. Wieczór – to niezwykle ważna pora dla dziecka.
Najczęściej – wspomnienia, też często – ciche refleksje
i łagodne szepcane rozmowy.

– O, niech pan patrzy, jaka pieczętka na herbacie. (Gdy włożył cukier, wypłynęły na powierzchnię pęcherzyki powietrza).

– Ile kawałków cukru pan włożył?

– Jeden.

– A niech pan patrzy, że są dwa. (Szkłanka jest szlifowana...)

Przy obwarzanku:

– Z czego się robi mak? Ja: – Rośnie. – A dlaczego czarny? Ja: – Bo dojrzały. – Prawda, że on ma we środku takie ścianki i w każdej ściance jest po trochu? Ja: – Mhm. – Czy z ogrodu może być taki cały talerz maku?

Jego pojęcie ogrodu składa się z czterech, pięciu wyobrażeń, moje – ze stu, z tysiąca. To takie jasne, a jednak dopiero dzięki temu pytaniu długo zastanawiałem się nad tym. Wiele pozornie nielogicznych pytań dziecięcych w tym ma swe źródło. Dlatego tak trudno porozumieć się nam z dziećmi, że one używając tych samych co i my wyrazów, wkładają w nie zupełnie inną treść. Moje: ogród, ojciec, śmierć nie są jego ogrodem, ojcem, śmiercią.

Ojciec–lekarz pokazuje kulę, którą podczas operacji wyjął z ranego.

– Czy ciebie, tatusiu, taką samą kulą zabiją? – pyta się ośmioletnia córeczka.

Wieś i miasto też nie mogą się zrozumieć, pan i niewolnik, syty i głodny, młody i stary, może – mężczyzna i kobieta. My tylko udajemy, że się rozumiemy.

Stefan przez cały tydzień patrzył obojętnie, jak wszyscy wokoło rówieśnicy zjeżdżają ze wszystkich górów i wzgórków – na sankach. Taka silna pokusa: a sam pracuje u cieśli. Jeszcze przed obiadem robił z Dudukiem łóżka dla chorych, wieczorem – wrócił z sankami.

– Ja tylko dwa razy zjadę.

– Dwa razy, a nie trzy razy? – pytam się z niedowierzaniem.

Uśmiecha się, polecał. Długo go nie było. Było pusto w izbie i cicho; tajemnicą jest dla mnie, dlaczego Walenty, który ciągle jeszcze zrządzi na kłopot bez pożytku, dwa razy chciał go wołać do domu: może i jemu stały się potrzebą wieczorne moje lekcje ze Stefanem.

Wrócił, usiadł – czeka.

– Czy dobre sanki?

– Niewyjeżdżone jeszcze.

Rzuciłem obojętne pytanie, niczym nie zdradziłem, jak całą duszą jestem po jego stronie, jak zupełnie przebaczam opóźnienie nie jemu, ale temu rumieńcowi zdyszania i pogodnego zdrowego wzruszenia. I zrozumiał, i chciał wyzyskać: sięgnął ręką po warcaby, patrząc pytająco na mnie.

– Nie, synku.

Bez cienia protestu, przeciwnie, z zadowoleniem bierze książkę. Miałem uczucie, że gdybym był ustąpił, sprawiłbym mu przykrość.

– Ale bez zegarka – mówi szybko.

– Dlaczego?

– Bo z zegarkiem zdaje się, jakby kto na głowie stał i poganiał.

Czyta. Tak jeszcze nie czytał. To było natchnienie. Jestem zdumiony – uszom własnym nie wierzę. Nie czyta, a sankami ślizga się po książce, ustokrotnionym wysiłkiem woli zdobywa przeszkody. Cały nierozproszony hazard sportu przenosi na naukę. Już teraz pewien jestem, że poprawiać błędy w czytaniu – to nonsens: on nie widzi mnie i nie powinien widzieć – sam na sam ze swoją rwącą wolą.

Biorę pióro – notuję.

Błędy, pochodzące z chęci opanowania tekstu, rozumienia treści:
Czyta: „dzieci poszli, mówili”. Czyta: „chleb się robi”, zamiast: „rodzi”. Czyta: „dał znak”, zamiast „dał znać”. Czyta: „Hanusia”, zamiast: „Anusia” (porównaj: Felek i Franek).

Czyta:

– Lekarz dał znak babce, aby ich (dzieci) wyprowadziła – zamiast: aby je wyprowadziła...

Walka o treść:

– W gużej książce – nie – w dużej książce. Gdy nauczyciel się wierszy – aaa – gdy nauczył się wierszyków.

Błędy, bo myśl mać wzrok.

Tekst:

„Pokłękaly dzieci z babcją... z płaczem wołały: «Boże, Boże, zachowaj nam kochaną mamę przy życiu. Wstaw się za nami, Najświętsza Panno Mario! Spraw, żeby nasza mama wyzdrowiała»”.

– Potem pokłękala babcia dzieci do łóżek (zamiast: pokładła babcia...).

Tekst:

„O tej porze matka krzątała się zwykle koło obiadu. Do obiadu zgromadzała się cała rodzina. Na pierwszych miejscach siedzieli pochyleni wiekiem staruszkowie: dziadzio i babcia Jasia”.

– Dziadzio był niegłodyś (zamiast: niegdyś)...

Dziwactwa mowy pisanej: toć mówi się: „s konia, fstał, japka, muk, wzioł, szczelać”; dlaczego pisze się: „z konia, wstał, mógł, wziął, strzelać”.

Jeśli dziecko tego nie powie, to z głosu, wyrazu twarzy, pauzy w czytaniu, akcentu na cudacznych literach – poznać można, że to je dziwi, niekiedy niecierpliwi...

Jeśli nie poszturchujemy dziecka przy pracy czytania ciągłym poprawianiem, objaśnianiem – możemy piękne robić obserwacje:

Stefan czyta: „wy – wybec – wy... wypiec”. Ja poprawiam: „wybiec”. On powtarza: „wypiec” – i czyta dalej, nie słyszał, co ja powiedziałem, zajęty pracą, pogrążony w pracy czytania...

Nie lubią, żeby im przerywać, bo to im przeszkadza. Stefan czyta: „na gzyms”. Dostrzega, że chcę objaśnić, więc uprzedzając, mówi szybko: „Ja wiem, co znaczy gzyms”, i czyta dalej...

Trudności: składanie wyrazów, niezrozumiałe wyrazy, dziwactwa pisanej mowy, nieznanne formy gramatyczne:

Stefan czyta: „dał chłopcu” i mówi cicho do siebie: „chłopcowi”, i dalej znów głośno: „chłopcu wiśnie”. Kiedy skończył czytanie, chcąc sprawdzić, czy zrozumiał, pytam się:

– O czym tu się mówi?

On:

– O niedbałym chłopcowi.

Echo przelotnej myśli o nowej formie gramatycznej: byłby powiedział: o chłopcu, ale mętnie pamiętał, że tam w książce było jakoś inaczej, niż mu się zdawało, że być powinno...

Jakże niezmiernie ciekawe, że właśnie dziś, po sankach, zaciężał mu przymus zegarka. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi.

Stoję przy piecu i rozmyślam nad dzisiejszą lekcją. Nagle Stefan, który leży już:

– A pan mi obiecał.

– Co?

– Bajkę.

Pierwszy raz sam się o bajkę upomina.

- Czy opowiedzieć ci jaką nową?
- Nie, o Aladynie... Ale niech pan siądzie.
- Gdzie?
- Tu bliżej – na krześle.
- Po co?
- No to niech pan przy piecu opowiada.

Niby nic, a ile w tym treści.

Z trzech bajek: o Kopciuszku, o Kocie w Butach i Aladynie – wybiera tę, która jest mu najbliższa: tam do biednego chłopca przychodzi czarodziej i swoją cudowną lampką wpływa na losy, tu – lekarz nieznany (oficer) zjawia się nagle i zabiera z przytułku, w bajce na szczerozłotyach półmiskach Murzyni niosą przysmaki, tu Walenty daje obwarzanki.

– Ale niech pan siądzie – mówi Stefan szeptem. To mi tłumaczy, dlaczego dzieci skupiają się przy bajce, chcą być blisko opowiadającego: ja powinienem przy nim siedzieć. Moje pytania: „gdzie – po co?” – gniewają go. Uczucie zażenowania nie pozwala mu się zwierzać. To jest już skutkiem naszej deprawacji, że dziecko bezwstydnie mówi: „Ja ciebie tak lubię, ja chcę być blisko, smutno mi, jaki ty dobry”. Stefan wstydził się podpisać pod listem do brata: całuję, kochający...

Stefan mówi podczas śniadania:

- Pan zamiast sam jeść obwarzanki, mnie daje.
- Odpowiadam: „Mhm” – i on już nic nie dodaje.

Po bajce tłumaczę, że zegar przy czytaniu nie powinien go popędzać.

– Jeżeli za pierwszym razem czytałeś trzy minuty, a za drugim trzy minuty bez pięciu sekund, to i tak jest dobrze. Dalej: jeżeli

dzisiaj czytałeś dłużej niż wczoraj, to trzeba tylko pomyśleć dlaczego: albo – że śpiący dzisiaj jesteś, albo że się zmęczyłeś więcej w warsztacie, albo że sanki ci przeszkodziły.

– A ja źle dzisiaj czytałem?

– A ty sam jak myślisz?

– Nie wiem. (Po chwili wahania). Bo mnie się zdaje, że dobrze.

– Tak, dobrze dzisiaj czytałeś...

Już i prawe oko mnie boli, łzawi się. Z trudem piszę – muszę odpoczywać. A szkoda notatek – takie nieprzebrane skarby.

Dziewiąty dzień

Stefan ma świerzb. W przytułku miał go dwa razy – raz leczyl się trzy, a raz sześć tygodni. Nic dziwnego, że bał się przyznać, po dziecięcemu odkładając na później katastrofę. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego parę razy dopytywał się, czy i kiedy będzie łaźnia. Zlekceważyłem te pytania – to był błąd. Powinna mnie była uderzyć, zdziwić ta niezwykła troskliwość o czystość wojennego dziecka. Nie zwróciwszy uwagi, prawdopodobnie tłumaczyłem to sobie chęcią odwiedzenia, spróbowania nieznanego mi kąpiel (słyszał, że dla chorych jest łaźnia).

Na Walentym odkrycie to zrobiło niezmiernie silne wrażenie: co będzie z bielizną, z jedzeniem?

– Nigdy nic takiego nie miałem – mówi z wyrzutem, sądząc, nie wiem czemu, że teraz już musi się zarazić.

Krótki wykład o świerzbie, jego etiologii, stopniu zaraźliwości, leczeniu – i to w ciągu trzech dni.

– Idź, synku, do warsztatu, a w obiad cię wysmaruję.

Tak, tu potrzebne było i pieszczotliwe słowo, i pocałunek.

– Ja w domu nigdy krost nie miałem – mówi szeptem.

Zanim poszedł do warsztatu, długo woził się sankami. Gdy wszedł do warsztatu, spojrzął na mnie z niepokojem: czy aby nie powiem Dudukowi.

Jakie to wszystko niedobre, jak wytrąca z równowagi. Właśnie dziś chciałem z nim porozmawiać – nazbierałem dostateczny materiał, a więc: że wydarł stronicę z kajetu, zaniósł do warsztatu bombę, a nie pytał się, czy ja pozwolę pokazać, zrobił sanki, choć nie wiedział, czy ja się zgodzę; że nie mówi mi prawdy: nie chciał, żebym się z jego bratem zobaczył, więc coś ukrywa pewnie, powiedział, że w ochronie nie biją, a potem dopiero przyznał, że dostawał pasem. Chciałem, żeby wiedział, że jestem z niego zadowolony, ale są pewne drobiazgi, o których mu, ot, przy sposobności mówię; bo chcę, żeby wiedział, że choć milczę, dostrzegam. Teraz dodam i świerzb, który też ukrywał – ale wszystko dopiero za kilka dni, kiedy jego skóra i moje oczy się wygoją. Niewysłowienie ważne jest rzadkie, masowe robienie uwag w formie życzliwej rozmowy. Boimy się zwykle, że dziecko zapomni: nie, ono dobrze pamięta – to raczej my zapominamy i dlatego wolimy – załatwiać „na gorąco”, innymi słowy – nie w porę – brutalnie.

Wieczorem czytał źle. Wczoraj dwadzieścia siedem wierszy w sześć i pół minuty, dziś szesnaście wierszy w siedem minut.

Kazałem opowiedzieć, co przeczytał. W ciągu ubiegłych dni opowiadał krótko swoimi słowami, po dziecięcemu zaczynając od: „Więc to tak...”. Dziś, nie wiem czemu, po opowiedzeniu pierwszej powiastki zapytał:

– Prawda, że źle opowiedziałem?

A drugą postanowił opowiedzieć słowami książkowymi – jak w szkole. Od razu wpadł w ten okropny, monotony, bezmyślny, żebraczy ton szkolnego opowiadania – zagładając ukradkiem do książki, skąd wychwytywał byle jakie zdania i plątał bez sensu.

W warcaby gra znacznie lepiej, znikły bliźnierskie ruchy – gra uważnie i poważnie. Rozumiem: dawniej naśladował, małpował gracza, wzorując się na autorytetach, teraz zaczął już – sam.

Pomagam mu, zwracam uwagę na popełniane błędy.

– Tylko niech pan nie mówi. Jak pan mówi, to ja łatwo sobie ważę.

To poprawianie każdego błędu w czytaniu, pisaniu – czy nie wywołuje tego samego skutku: że uczeń łatwo sobie waży pracę.

Stół się chwieje. Rozlał trochę herbaty na stole – robi palcem drogę do brzegu – herbata ścieka.

– Niech pan patrzy, jak spływam herbatę.

– Mhm.

– Ona sobie tak spływa.

Dziecko bezspornie posiada czucie, powiedziałbym – sumienie gramatyczne (i ortograficzne). Wiele razy obserwowałem, jak dziecko, wsłuchawszy się w niegramatycznie zbudowane zdanie, samo je zmienia, nie wiedząc, jak poprawić. Czy systematyczna nauka nie zabija tego sumienia? Czy niezrozumiałym, niedostępnym tłumaczeniem nie utrudniamy mu raczej pracy?

Umysł dziecka – las, którego wierzchołki lekko się poruszają, gałęzie splatają, liście, drząc, dotykają. Są chwile, gdy drzewo łączy się delikatnym dotknięciem z sąsiednim, a przez sąsiada udziela

mu się drganie stu, tysiąca drzew – całego lasu. Każde nasze: „dobrze – źle – uważaj – jeszcze – raz” – to jak wichur, który chaos wprowadza. Szedłem raz za nasionkiem mlecznika – ziarenko zawieszona na białym pióropuszu. Długo za nim chodziłem: z lekka przefruwa z źdźbła na źdźbło, z trawki na trawkę – tu dłużej, tu krócej się zatrzyma – aż zaczepi się i wyrośnie. Myśli ludzka, nie znamy praw, którymi się kierujesz – pragniemy – nie wiemy – korzysta z tego zły geniusz ludzkości.

Zamiast: ły – czyta: zły...

W zadaniu gniewa go wyraz: otrzymał.

– Otrzymał, to przecie znaczy, że dostał. (Do siebie). Koniecznie – trzy... Dostał sześć śliwek...

Czyta:

– Nieufnie (jeszcze raz uważnie) – nieufnie, (trzeci raz – z rezygnacją) nieufnie...

I czyta dalej...

Czyta:

– Biegły... biegły... Czy biedny?... Tu jest biegły... Zastanawia go zwrot gramatyczny: „siedzisz, dziecię”. Po przeczytaniu i upewnieniu się, że przeczytał dobrze, myśli nad tym.

– Proszę pana, czy w pana zegarku jest złota strzałka?

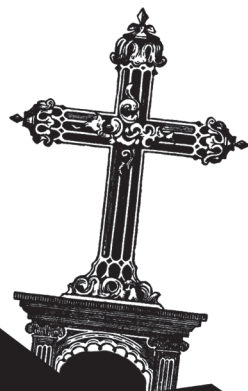
– Nie, zwyczajna.

– Bo są złote.

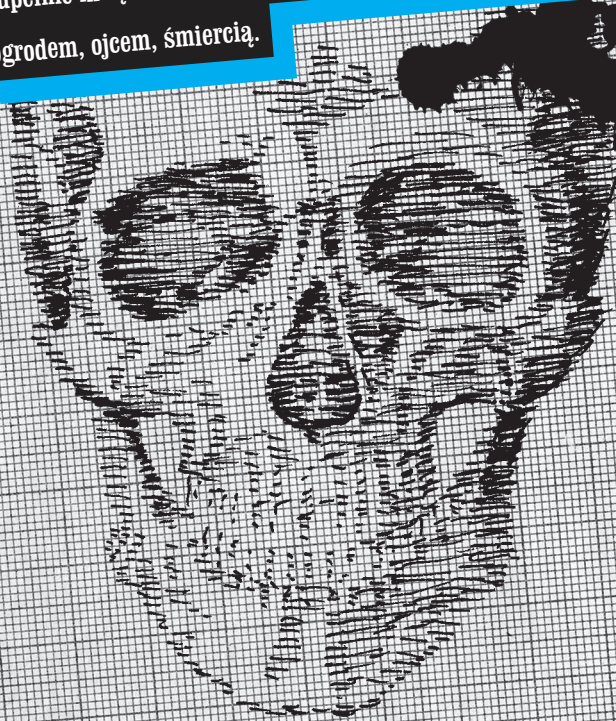
– A ty widziałeś?

– Widziałem: panna Lonia miała.

Innym razem:



Dlatego tak trudno porozumieć się nam z dziećmi,
że one używając tych samych co i my wyrazów, wkładają w nie
zupełnie inną treść. Moje: ogród, ojciec, śmierć nie są jego
ogrodem, ojcem, śmiercią.



- Niech pan sobie kupi pilniczek do pazurów.
- Po co?
- A taki, jak panna Lonia miała.

Widocznie sprawia mu przykrość, że ja – mężczyzna, oficer, te-
raźniejszy jego opiekun – stoję niżej od panny Loni, upośledzony
o złotą strzałkę i pilniczek.

Przed pójściem spać smaruję go.

- To za trzy dni wszystko przejdzie? – pyta się z niedowierzaniem.
- A dlaczego mi nie mówiłeś nic?
- Wstydziłem się (półgłosem).
- Czego? Żeś chory?
- Ja w domu nie miałem żadnych krost – odpowiada wymijająco: nie chce powiedzieć, że w przytulku się śmieją, brzydzą
świerzbu.

- Pan się tak umazał.
- No to się umyję.

Leżąc w łóżku, pyta się:

- Nie wozilem się długo sankami, prawda?

Wobec mojej dobroci niepokoi go grzech, który popełnił. Pytanie
to, takie niby nie wiadomo skąd, tak sobie tłumaczę:

„On się nie gniewa na nic. Dlaczego się nie gniewa – może nie
wie? A ja się sankami wozilem. A on chce, żebym się uczył. Długo
wozilem się sankami, a może i nie tak długo?”

Dziesiąty dzień

Awantura i pojednanie.

Walenty dyżuruje. Nalewam Stefanowi herbatę.

- Co pan mi nalął tylko pół szklanki?

– Żebyś nie rozlał na stole.

– Ee, ja sobie doleję.

Nie odpowiadam. Dołał, postawił szklanę, a podczas tego, gdy się przeciskał między ławką i stołem, stół zachwiał się – sporo herbaty się rozlało. Zmieszał się. Idzie – przynosi ścierkę.

Mówię głosem spokojnym, ale stanowczym:

– Proszę cię, Stefan, żebyś nic nie brał z rzeczy pana Walentego, bo on tego nie lubi.

– Ja chciałem wytrzeć.

– A skąd wiesz, może to ścierka do szklanek? Skonfundowany odnosi ścierkę. Uchyłam stół, a resztę wycieram bibułą. Stefan milczy, wreszcie głosem niepewnym – na próbę:

– Dlaczego na tym szkłe (od lamp) jest H.S.?

– Pewnie to są pierwsze litery imienia i nazwiska fabrykanta.

Zadaje szereg pytań – oznaczają one:

„Ot, rozmawiamy sobie. Tamto już zapomniane. Kto by tam o takim drobiazgu pamiętał?”

A przecież pamiętał. Wieczorem:

– Ja naleję herbatę – dobrze?

– Dobrze.

Mnie nalewa pełną szklanę, a sobie niewiele więcej niż połowę.

– Niech pan przytrzyma – mówi, przeciskając się za stół.

– Teraz się nie wylało już.

Gdyby nie oczy, opisałbym dokładnie – opuściłem szereg szczegółów. Rano po herbacie powiedział: „Dziękuję” – podał mi rękownik. Przeprosił nie słowami, ale czynami.

Dziecko obserwuje siebie, analizuje swe czyny. My tylko tej pracy nie dostrzegamy, bo nie umiemy czytać między wierszami

jego od niechęcia rzucanych zdań. Chcemy, żeby nam się dziecko zwierzało ze wszystkich myśli i uczuć. Sami niezbyt skłonni do zwierzeń, nie chcemy czy nie umiemy zrozumieć, że dziecko jest wiele wstydlwsze, drażliwsze, czulsze na brutalne śledzenie jego duchowych drgnień.

– Ja się dziś nie modliłem – mówi Stefan.

– Dlaczego?

– Zapomniałem. (Pauza). Jak się rano umyję, to potem zaraz się modłę, a jak się nie myć, to się modlić zapomina.

Nie myje się z powodu świerzbu.

Sprawia mu trudność forma: pan.

– Zgadnij pan – poczekaj pan – nie mów pan – obok: niech pan zgadnie.

To znów:

– Pan by sobie pisali, a ja gadam i panu przeszkadzam.

Sprawę sanek omówię w tej generalnej rozmowie. Niezadługo zapewne i śniegu nie będzie. I dobrze się stało, że nie zrobiłem mu uwagi. Oto tajemnica jego zaniedbania:

– Tak się bałem w warsztacie, żeby majster nie poczuł maści. Jak on tu, to ja zaraz na drugi koniec. A rano wozilem się sankami, żeby się wywietrzyć.

Dwa przytułkowe zwyczaje:

Stefan śmieje się cicho, zasłaniając usta.

– Dlaczego nie chcesz się głośno śmiać?

– Bo to nieładnie, pani mówiła.

– Może dlatego, że tam dużo dzieci, to byłby hałas...

Drugie: codziennie zostawiał na stole kawałek obwarzanka i na dnie trochę herbaty. Widocznie coś się w tym kryje.

– Powiedz, Stefek, dlaczego ty zawsze zostawiasz?

– Nie, ja zjadam.

– Słuchaj, synuś, jeżeli nie chcesz powiedzieć dlaczego, to nie mów. Czasem nie chce się czegoś powiedzieć. (Prawo do tajemnicy!) Ale ty zostawiasz.

– Eee, bo mówią, że jak wszystko zjadać, to tak wygląda, jakby kto cały rok nic nie jadł.

Widząc, że i to przyszło z trudnością, nie nalegałem więcej. Mimo woli go uraziłem. I mnie byłoby przykro, gdybym coś zrobił dla pochwalenia się znajomością form towarzyskich i przekonał się nagle, że to wcale do dobrego tonu nie należy.

Naśladownictwo.

– Proszę pana, ja chcę pisać duże K tak, jak pan pisze.

W Domu Sierot wiele dzieci przejmowało niektóre moje litery. Te litery, używane przez dorosłych, są lepsze, wartościowsze. Pamiętam, jak długo biedziłem się, by nauczyć się pisać duże W tak, jak ojciec pisał na kopertach w adresie: „Wielmożny”. Sądziłem, że zaimponuję nauczycielce, a spotkałem się z szorstką odprawą:

– Jak będziesz tatusiem, będziesz mógł pisać, jak zechcesz.

Dlaczego? Co jej to szkodzi? Co w tym złego? Byłem zdziwiony i urażony...

Dziś podczas dyktanda przyszedł felczer z papierami. Nie zauważyłem, że Stefan uważnie patrzy, jak ja piszę. A patrzył: bo po wyjściu felczera sam zaczął pisać tak prędko, że nawet marzyć nie można było, by to potem odczytać.

Jako nauczyciel, mam tylko trzy wiersze karygodnie niestarannego

pisma, jako wychowawca – mam bardzo subtelny odruch buntu przeciw własnej niedoskonałości:

– Chcę pisać tak prędko jak ty, chcę być do ciebie podobny.

Ano – spróbujemy:

– Patrz, chłopak, coś ty tu nabazgrał. Blam... dziam... bram...

Dlaczego te trzy wiersze tak ci się nie udały?

– Nie wiem (uśmiech zażenowania).

– Może zmęczony już byłeś?

– Nie byłem zmęczony.

Nie chce kłamać, a nie może powiedzieć prawdy.

Sprawdzaliśmy postępy w biegłości czytania. Ponieważ czytamy teraz książkę z drobniejszym drukiem, trzeba było liczyć litery.

– Tam było trzydzieści siedem wierszy po siedemnaście liter – to znaczy sześćset dwadzieścia dziewięć liter. Czytałeś je dwieście dziesięć sekund, więc trzy litery na sekundę. A tu jest sześćdziesiąt pięć wierszy po dwadzieścia siedem liter w wierszu – przeczytałeś je w sześć i pół minuty. Więc prawie pięć liter w sekundę.

Nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia, choć ciekawie przyglądał się moim wyliczeniom.

Przed zaśnięciem.

– Pocałować cię na dobranoc?

– A bo ja święty?

– Czy tylko...

– Albo książk – albo co?

Lubię, kiedy w czytaniu spotykają się łatwe wyrazy:

– Zawołała, zadowolona, zapaliła.

Gniewają mnie:

– Troszcząc się... dżdżysty dzień...

Zadanie łatwe; trudniejsze już rozwiązywał – a teraz płacze się
– myli. Kie lichy?

– O, proszę pana – tu krosteczka.

– Gdzie?

– O, tu – pokazuje na szyi. Czy to nie świerzb?

– Nie, jutro się wykąpiesz i będziesz zdrow.

I już bez przeszkód idzie arytmetyka.

Jedenasty dzień

Kiedy włożyłem niebieskie okulary, Stefan zapytał szeptem:

– Czy pana bardzo oczy bolą?

Szept i uśmiech – zawdzięczam Stefanowi, że zwróciłem na nie uwagę – w internacie nie dostrzegłbym.

– Ja zdrow, a pan chory – powiedział wieczorem.

To jest uczciwy sposób okazywania współczucia. My ładniej mówimy, ale mniej czujemy. Wdzięczny mu jestem za to zdanie.

Nie wiem, dlaczego powiedział:

– Ja teraz wcale o bracie nie myślę.

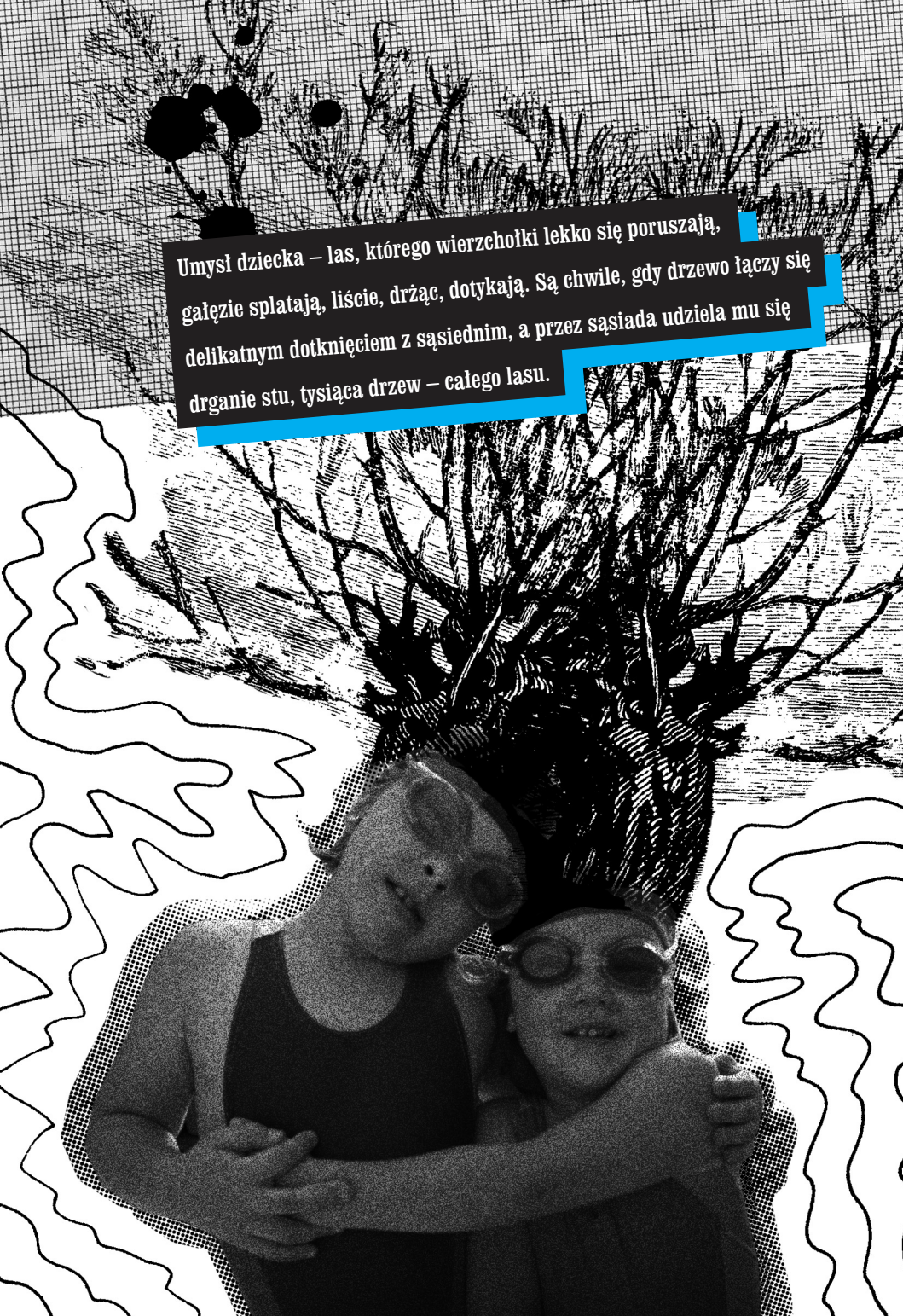
– To źle, powinieneś myśleć o ojcu i bracie.

Nikczemna wojna.

Płakał, kiedy jechałem do szpitala. Przypuszczam, że to wspomnienie rodzinnego gniazda: trzeba płakać, gdy ktoś idzie do szpitala, umiera.

Odwiedził mnie z Walentym w szpitalu.

- Proszę pana, czy ci oficerowie też są chorzy?
- Tak.
- Na oczy?
- Nie, na różne choroby.
- A czy oni na pieniądze grają w karty?



Umysł dziecka – las, którego wierzchołki lekko się poruszają, gałęzie splatają, liście, drząc, dotykają. Są chwile, gdy drzewo łączy się delikatnym dotknięciem z sąsiednim, a przez sąsiada udziela mu się drganie stu, tysięcy drzew – całego lasu.

Spis treści

Słowo wstępne / 5

Uwagi wstępne / 9

I. Szkoła miejska – oddział pierwszy / 13

II. Klasa podwstępna i wstępna pensji prywatnej / 19

III. Helcia / 26

IV / 51

Książki wydane w ramach Roku Janusza Korczaka



Dziecko w rodzinie – pierwsza część tetralogii *Jak kochać dziecko* (wyd. I 1918), to jedno z najważniejszych dzieł w spuściznie pedagogicznej J. Korczaka. Powstało w czasie I wojny światowej, a dotyczy najprostszych i najbardziej uniwersalnych wymiarów ludzkiego życia. Korczak pisze tu o rodzeniu dzieci, pielęgnowaniu dzieci, wychowaniu dzieci i o mądrej miłości do dzieci. Uczy takiego patrzenia na dziecko, by dostrzec i zrozumieć jego potrzeby. Karmienie piersią, kłopoty z ząbkowaniem, choroby dziecięce, rozwój fizyczny dziecka – to tylko niektóre problemy, którymi się zajmuje. Książka wyjątkowa, napisana prostym, obrazowym językiem, z mnóstwem odniesień do praktyki lekarskiej Korczaka. Obowiązkowa lektura dla młodych mam, ojców, opiekunów i dla wszystkich, którym dobro dziecka nie jest obojętne.

Jak kochać dziecko – Internat. Kolonie letnie. Dom Sierot

Prezentowane w tym tomie trzy części tetralogii *Jak kochać dziecko – Internat. Kolonie letnie. Dom Sierot* – razem z częścią pierwszą pt. *Dziecko w rodzinie* stanowią fundament spuścizny pedagogicznej Janusza Korczaka. *Dziecko w rodzinie* adresował Korczak głównie do rodziców, w *Internacie. Koloniach letnich. Domu Sierot* zwraca się do młodego, niedoświadczonego wychowawcy. To przede wszystkim z nim pragnie się podzielić swoją wiedzą i doświadczeniem wychowawcy-praktyka, wychowawcy-badacza. Szukając odpowiedzi na pytania, jak poznać dziecko i jak pracować z dzieckiem,

Korczak pokazuje swoje działania pedagogiczne, sukcesy i porażki, analizuje zachowania dzieci w różnych sytuacjach „koszarowego” życia w internacie, na koloniach letnich, w domu dziecka. Książka ta, jak żadna inna uczy wnikliwie patrzeć na dziecko, badać je i odkrywać, a tym samym może być i dziś niezastąpionym kompendium wiedzy dla wszystkich, którzy pracę z dzieckiem widzą jako swoje powołanie.



Prawo dziecka do szacunku, wydane po raz pierwszy w 1928 r., zawiera deklarację praw dziecka, którą Korczak formułował w ciągu wielu lat obserwacji i poznawania najmłodszych. Odwołując się do niezbywalnych praw każdego człowieka, Korczak przekonuje „Nie ma dzieci, są ludzie” i żąda szacunku dla dnia dzisiejszego dziecka. Szacunku dla jego niewiedzy i pracy poznania, dla niepowodzeń i łez, dla własności dziecka i jego budżetu. Dziecko ma prawo być tym, kim jest. Mimo że od napisania tej książki minęło ponad 80 lat (wyd. I 1928 r.) zawarte w niej treści są nadal aktualne, a w kwestii egzekwowania praw dzieci pozostaje ciągle dużo do zrobienia.



Janusz Korczak

(właśc. Henryk Goldszmit 1878/79? -1942): lekarz, pedagog, pisarz, społecznik. Dyrektor Domu Sierot dla dzieci żydowskich, współtwórca Naszego Domu dla dzieci polskich, w których to placówkach realizowano jego autorski program wychowawczy. Członek wielu towarzystw społecznych i oświatowych,

wykładowca w seminariach i wyższych uczelniach, prelegent i biegły sądowy w sprawach dzieci.

Dzięki jego pracy teoretycznej i praktycznej do nauki i praktyki wprowadzono pojęcie człowieczeństwa dziecka. Uważany jest za pierwszego niekonstytucyjnego rzecznika praw dziecka. Uznaje się, że zarówno Konwencja o Prawach Dziecka, jak i dziecięce odznaczenie, jakim jest Order Uśmiechu, są realizacją jego testamentu.

Autor ponad 20 książek (m.in. „Jak kochać dziecko”, „Prawidła życia”, „Prawo dziecka do szacunku”, „Król Maciuś Pierwszy”, „Kajtuś Czarodziej”) i ponad 1400 tekstów publicystycznych opublikowanych w około 100 pismach.

Wydane po raz pierwszy w 1919 r. „**Momenty wychowawcze**” to książka znacząca nie tylko w dorobku pedagogicznym Korczaka, ale też ważna z punktu widzenia współczesnej pedagogiki. Adresatem tego, jak dziś powiedzielibyśmy, poradnika jest młody nauczyciel-wychowawca, który uczy się poznawać i rozumieć dziecko. „Momenty wychowawcze” zawierają notatki Korczaka, opatrzone jego komentarzem, z obserwacji grupy dzieci w wieku przedszkolnym oraz dziennik obserwacyjny jedenastoletniego Stefana. Korczak wnikliwie opisuje i analizuje zachowania dzieci, ich mimikę, gesty, słowa, wzajemne relacje, zwracając uwagę, jak doniosłe znaczenie w pracy wychowawczej ma rzetelna dokumentacja. Dostrzeżenie tych ulotnych momentów, utrwalenie ich oraz refleksja nad nimi to zadanie dla każdego świadomego pedagoga.

Jest to praca w szczególności adresowana do młodych nauczycieli, którzy uczą się obserwować, rozumieć dziecko i rozmawiać z nim. Dzisiejsi badacze Korczaka nazywają ten wzorzec metodyczny „uczeniem się dziecka” i „uczeniem się od dziecka”. Momenty wychowawcze można potraktować jako specjalny rodzaj nauczycielskiego podręcznika czy przewodnika, pokazującego nauczycielowi, jak poznawać dziecko i jak kształtować siebie w kontakcie z nim. Takie zadania stawia przed swoimi adeptami współczesna pedagogika.

Marek Michalak

Rzecznik Praw Dziecka

ISBN: 978-83-89658-44-9



Publikacja wydana z okazji
III Międzynarodowego Kongresu Praw Dziecka oraz
VIII Międzynarodowej Konferencji Korczakowskiej
Warszawa 2017